

WIESŁAW BEK

22
LIP
CA

Porównania

Uważny czytelnik publikowanych na łamach prasy polskiej reportaży o egzotycznych krajach bez trudu znajdzie opisy scen, kiedy to — dla przykładu — malarz Arab zapytany przez autora, czy słyszał o Polsce, skwapliwie potwierdza. — Byli tu przecież polscy marynarze...

Oczywiście, w reportażach zmieniają się kraje, coraz częściej marynarzy zastępują geolodzy, inżynierowie, lekarze, pod różną szerokością geograficzną wykorzystujący swe umiejętności na pożytek danego kraju — sens pozostaje jednak ten sam: montując fabryki, lecząc dzieci — przywieźli wiedzę o Polsce. Czytamy te reportaże i doznajemy przyjemnego uczucia — w Azji, Afryce wiedza coś niecoś o naszym kraju.

Albo inny przykład. Na polkach nowoczesnego magazynu lub rozłożonym na spacerowanym słonecznym ulicznym straganie polski turysta odnajduje w dalekim kraju coś, co łączy tutejszą egzotykę z jego ojczyzną: artykuł, opatrzone skromniutką szanowaną tu etykietką — Made in Poland. Tu wiedza o Polsce przynosi metr tkaniny, czy też hermetycznie zamknięta puszka z szynką.

I często dopiero tam zaczynamy zdawać sobie sprawę z pozycji Polski w świecie.

A tak na co dzień — czy zastanawiasz się, Czytelniku, nad politycznym i gospodarczym znaczeniem Twojego kraju?

Nie zajmując się pierwszą ze wspomnianych dziedzin, bo tu aż nadto dowodów, by wykazać rolę Polski w polityce międzynarodowej

Dalszy ciąg
na str. 2

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 22.VII.62 r.

Nr 29 (229)

Cena 1 zł



TEN NUMER WARTO
PRZECZYTAĆ!

MAŁGORZATA KUCZYŃSKA

Najstarsi działacze kulturalni Łodzi

Ludzie, o których ma traktować niniejszy artykuł podjęli i kontynuują z powodzeniem piękną i trudną polską tradycję „Silaszków”, „Judymów”, społeczników, którym drogę ponad wszystko jest dobro naszej kultury narodowej i którzy na jej rzecz niejednokrotnie rezygnują z własnych potrzeb, z własnego nawet życia prywatnego, poświęcając się bez reszty. Swoją pracę zaczęli w warunkach niewiele bardziej sprzyjających jej rozwojowi niż te, w jakich działali bohaterowie Zeromskiego, bo zaczęli ją nie długo przed ostatnią wojną, a jedna z pań nawet przed pierwszą wojną światową.

I rzecz ciekawa przez długie lata ich pracy nastąpiło tyle zmian w otaczającym świecie, zdeprecjonowało się tyle wartości, a typ działacza kulturalnego (z prawdziwego zdarzenia) nie zdevaluował się zupełnie, nie zmieniły się nawet postulaty, jakie im się stawia, wartości, jakie muszą sobą reprezentować.

Pierwszeństwo w naszym krótkim przeglądzie z wieku i urzędu należy się p. Zofii Kamińskiej — starej nauczycielce (ma obecnie 75 lat) laureatce I nagrody I Konkursu Recytatorskiego. Mając 66 lat (I konkurs miał miejsce w 1953 roku) zdobyła pierwszą nagrodę, zyskała aplauz surowego jury, wywołała wiele szumu w świecie artystycznym — to rzecz niebiańska, tego dokonać może tylko człowiek niepospolity. P. Zofia poza słownymi włościami nie ma w sobie nic ze staruszek i określić jej tym mianem nie można, choćby się chciało. Jej ogromnie silny głos, jej aktywność, ruchliwość, tkwienie wciąż w centrum spraw naszego świata czyni z niej osobę wręcz młodą. Pani Zofia nie chce odpoczywać, chce pracować, emerytura jest dla niej niesłychanie ciężka.

Człowieka żywotnego wysłać na emeryturę to żywcem zapisać do trumny — mówi p. Zofia swym jowialnym, nieco stylizowanym, ale pełnym, czytelnym, wciąż jeszcze się uczący, udziela lekcji języków obcych, dorabiając sobie w ten sposób do zbyt niskiej emerytury. Ale dzień swych byłych wyczerpanek z fabryk uczy zupełnie bezinteresownie 6 godzin tygodniowo. Jeszcze teraz występuje od czasu do czasu, właśnie ZBWiD poprosił ją o wie-

czór recytacji. Całe jej życie to jeden wielki ciąg prac społecznych, służenie innym ludziom swymi „zdolnościami”, swą wiedzą i doświadczeniem. Pracowała przed wojną z Korczakiem w jego Domu Sierot, tam zorganizowała swój pierwszy teatrzyk. Jej debiut recytatorski miał miejsce w 1905 r. w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Występowała bardzo wiele, z różnym programem w różnych miejscach. Sama w ciężkich warunkach uczyła języków swym niezmierzonym koleżankom. Na Sewerynowie w Warszawie z kilkoma jak ona społecznikami, pracowała w domu dla kobiet upadłych — gdzie uczono je rzemiosła, umożliwiając powrót do normalnego życia. Po wojnie pracując w zakładach odzieżowych w Łodzi na stanowisku kierownika kulturalno-oświatowego organizowała z własnej inicjatywy w fabrykach kursy dla analfabetów; wychwytywała osoby podpalające się na liście wyplat krzyżkami i nakłaniała je do nauki. Nie ograniczając się wyłącznie do pracy artystycznej, która wszelako była i jest dominantą jej działalności, zabiegała o oświatę, o podniesienie kultury wśród robotników, organizując w tychże zakładach kursy sanitarne. To wszystko oczywiście w ramach pracy społecznej. Ma odznaky, odznaczenia, nagrody z najdroższych instytucji i najrozsądniejszych okazji, nawet z okazji Święta Morza za program „Ślub Wisły z Bałtykiem”; piękne edycje zagraniem z Klubu Książki i Prasy i z Rady Narodowej. W 1946 roku otrzymała Srebrny, a w 1956 Złoty Krzyż Zasługi. Przez całe swoje życie otwierała przed ludźmi, pełnymi, trudny świat poezji, uczyła ich kochać i rozumieć. Wykształciła wielu zdolnych recytatorów, wielu spośród jej wychowanków, których uczyła recytacji jest obecnie znanymi, cenionymi aktorami.

Łódź w tym roku doczekała się konkursu recytatorskiego na swoim terenie, ku jej wielkiej radości; ale radości zwróconej szybko rozgoryczeniem, że nie zaproszono jej na honorowego członka Komisji, to z racji zasług, talentu recytatorskiego i ogromnego doświadczenia chyba jej się należało.

Dруга łódzka „Silaszka” jest p. Józefa Szarowska, kierownik Działu Artystycznego LDK, także z zawodu nauczycielka. W LDK prowadzi 2 formy pracy: kursy i zespoły (teatrny, taneczny,

Dokończenie
na str.4



Fot. E. Kudaj



EWA OSTROWSKA

Bohaterowie nie są zmęczeni

Na początku rozmowy Witold Jamont był zupełnie opanowany. Sucho i beznamiętnie odpowiadał na pytania, powoli dyktował cyfry, rzeczowo relacjonował fakty i sytuację miasta. Zachowywał się tak, jakby na porządku dziennym było dla niego udzielanie informacji do prasy, a stąd — przyzwyczajony zaspokajając natrętą ciekawość reporterską, — wytworzył dla niej stosunek pełen pobłażliwego wyrozumienia.

Psychologia to nie moja rzecz. Nie znam się na niej. Ale podczas tej konwencji

nalnej rozmowy, uporczywie trzymało się tamto wrażenie, jakie wyniosłam z pierwszego spotkania, chociaż teraz Witold Jamont nie dawał argumentów do podobnego wnioskowania. Fanatyk — tak pomyślałam w trakcie wczorajszego spotkania w Domu Kultury. Światła na wielkiej sali widowiskowej były już przygaszone, gdy Marek Wawrzkiwicz, zastępca dyrektora Domu Kultury, oprowadzał mnie po swoim gospodarstwie. No bo jak? — być w powiatowym mieście i nie obejrzeć Domu Kultury? — takiego faus pasus nie popełni żaden szanujący się reporter. Kultura na szczeblu powiatowym? — A... to już kompetencje i resort działalności Powiatowego Domu Kultury — kierują wszyscy zapytani.

A w ogóle, to lojalnie ostrzegam przed Kamienną Górą. Niebezpieczne miasto. Gdy więc w nim będziecie — podziwiałcie lepiej piękne okolicę, spacerujcie sobie po Górce Parkowej, róbcie wycieczki w góry, lecz — niech wszyscy aniołowie święci mają was w opiece! — nie zainteresujcie się przypadkiem samym miastem. Pochwyćcie was tu jak swój łup, nie pozwól złapać tchu, odpocząć, tylko będą was ganiać i pokazywać od rana do wieczora, zasypując danymi liczbowymi — oprowadzając po fabrykach, pokazując maszyny, każąc pod nie zaglądać i opukiwać, chwalać się wszystkim, nawet koszami na śmieci i kwiatkami na trawnikach, ba! — prosząc o podziwianie

Dalszy ciąg na str. 5





WILLIAM FAULKNER

„Komedie Ludzka” naszych czasów — historia hrabstwa Yoknapatawpha — została dopisana do końca, i oto mityczny obszar, w którym, jak w soczewce, odbił się cały blask i cała nędza ludzkiego bytowania, jest pozabawiony Władcy zarazem, i Stwórcy. Odszedł ten, który to rozdzielił niepodzielnie i suwerennie, ten, który obdarzony mocą powoływania do życia, tchnął je w opisane przez siebie tysiące postaci ludzkich, w zwierzęta, w płodną, zniewalaną przez człowieka glebę. Spotkał się wreszcie ze śmiercią, której — także dziś odnośmy wrażenie — od lat wychodził naprzeciw, której służył całe swe życie, którą, jak nikt inny opiewał.

Zaiste, był William Faulkner poetą śmierci — i ona to fascynowała go z wszystkich przejawów życia najbardziej. Z pasją analizował obumieranie, ów gwałtowny lub powolny, zawsze nieublagany, i zawsze mityczny proces, któremu na kartach swych powieści podporządkował każdy niemal ludzki porwy i każdą niemal ludzką namiętność. Nieustępliwie i z uporem śledził jej dzieło: powoływał do życia, po to, by zadać śmierć, a gdy ją wreszcie swym piórem wezwał, zjawiała się na naszych oczach w całej grozie i w całym swym bezsensownym majestacie: śmierć Sutpena, Compsona, Sartorisów, śmierć Emili Grierison czy Joe Christmasy.

Pojmował bowiem życie jako tragiczną wędrówkę w stronę śmierci: i w takim widzeniu losu ludzkiego wyprowadził francuskich odkrywców Kierkegarda. Pierwszy, na długo jeszcze przed Sartrem, wypowiedział magiczną formułę doli człowieka: „Jesteś skazany!”. Pierwszy, na długo jeszcze przed Camusem, uczył i w tej wędrówce, zamkniętej niby wyrokiem, kłamrą przeznaczenia, człowiek nie ma jednak prawa zrzucić ze swych słabych barków brzemienia wierności: wierności swemu powołaniu, wierności swej właściwej substancji.

Lecz choć objawił czytelnikom te prawdy, nie był apostołem i nie tworzył szkoły filozoficznej. Nie miał bowiem żadnych złudzeń, nie poddawał się żadnej iluzji. Nie afirmował współczesnego świata w żadnej jego postaci. Zbuntowany przeciw niemu, dokonał wyboru i w swym niemal pustelnicznym życiu zwrócił się ku przeszłości, by z niej, niby z żywej, ementarniej gleby czerpać soki. Przez dziesiątki lat, nie zważając na opinie literackie Parnasów, zrazu w zapoznaniu, później ignorując sławę — tworzył swój własny świat, który z pozoru egzotyczny, w istocie jest naszym światem: mikrokosmosem udręk jakie gotuje życie.

Ta postawa wyznaczała mu obszar badań. Zainteresowania jego budziły się wówczas, gdy dostrzegał iż żywa tkanka — czy to jednostki, czy społeczeństwa — zaczyna toczyć śmiertelną chorobę. Dostrzegał wówczas nieomylnie, jak te zjawiska chorobowe, te z pozoru tylko anomalie czy zbrocenia, obnażają nieubłagane całą prawdę o istocie psychiki ludzkiej.

Ów instynkt badacza uczynił zeń największego dramaturga współczesnej literatury. I choć nie tworzył dla teatru, właśnie z Szekspirem, właśnie z Sofoklesem chciałoby się zestawiać jego nazwisko. Bowiem talent i mądrość Faulknera, raz po raz szykują nam na kartach jego powieści ów wstrząs, który antyczny określał mianem katharsis. Wstrząs sprawiający, że w losie linczowanego Murzyna czy zbuntowanego wykołajnika nagle, jak w objawieniu, dostrzec musimy własny los i sens ogólnoludzkiej solidarności.

W jego prozie, bujnej niby roślinność rodzinnego Poludnia, w tym gąszczu słów nieposłusznych lecz ujarzmionych, w tym pozornym chaosie rządzącym się własnymi prawami, nas, czytelników olnić musi piękno w formach tak czystych, tak absolutnych, iż cały niemal obszar literatury współczesnej wyda nam się w porównaniu z tą Puszcza — schludną, równo wykoszona łączką.

Był więc Największy — coś więc dziwnego, że był Samotnikiem. Że nie dbał o opinie. Że ignorował konwenanse, potrzeby chwili, „zamówienia społeczne”. Przerastał je tak, jak przerastał całą naszą swarliwą i skłóconą współczesność. Lecz dzięki sile swego geniuszu i magii swego wyjątkowego pisarskiego powołania właśnie tej współczesności służył.

WACŁAW BILIŃSKI



(Drukujemy dalszy ciąg dyskusji o turystyce)

IAN BONIAKIEWICZ:

Używamy tu określenia „turystyczna Polska B”. W związku z tym określeniem trzeba zapytać: czy mamy w Łodzi w tej mierze jakieś tradycje? Raczej nie. Przed wojną środowisko robotnicze organizowało sobie wypoczynki w formie małogrupowych wyjazdów na peryferie miasta, do lasów, na tzw. majówki. To było wszystko i to chyba w pewnym stopniu określa dzisiejszą sytuację. Do niedawna Łódź nie znała prawdziwych imprez turystycznych. Wyjazd jakiejś grupy kolarzy czy wycieczki grupy pieszej w pobliże Łodzi, to jeszcze nie turystyka. Dopiero w tym roku odbyła się pierwsza trzydniowa impreza na skalę krajową. Znaczący to, że od pewnego czasu zaczyna się w tej turystycznej Polsce B coś dziać.

W artykule red. Uchmana mowa jest o turystyce i o „zielonej trawce”. Te pojęcia są pokrewne, ale nie równoznaczne. „Zielona trawka” to wypoczynek najprymitywniejszy, najłatwiejszy, bierny, turystyka to wypoczynek wyżej zorganizowany, sa tu już potrzebne urządzenia: ślady, trasy, schroniska, stacje wodne itd. Nie wiem, o co redakcji i autorowi bardziej chodzi. Te sprawy trzeba było wyraźniej rozgraniczyć.

Na wstępie naszego spotkania padło pytanie, czy w Łodzi ktoś planuje rozwój turystyki. Można chyba na to pytanie odpowiedzieć twierdząco, szczególnie w odniesieniu do bieżącej pięciolatki. Planu łódzkiego wiąże się z planami centralnymi, sa w stadium realizacji, a nawet sa wyprzedzane. To jest pewne. Od 2—3 lat obserwujemy duży rozmach inwestycyjny w tym zakresie. Buduje się ośrodki typu campingowo - namiotowego, może nie w znaczeniu, o jakim tutaj mówił tow. Brzozowski, ale buduje się z inicjatyw i środków zakładów pracy i branżowych związków zawodowych, jak również ośrodki o poważniejszym znaczeniu. W Grotkach np. powstał ośrodek Związku Budowlanych. Piękny to ośrodek, chociaż może jeszcze niecałkowicie ukończony, otwarty dla wszystkich, może przyjąć jednorazowo 3 tys. ludzi. Na takich ośrodkach aktualnie najbardziej nam zależy, dlatego popieraliśmy wniosek o skreślenie z bieżących planów Mrozi. Drugi rok inwestujemy w takie obiekty jak Arturówek, Stawy, Jana, ośrodek „Włókniarza” przy ul. Kilińskiego. Pomagaliśmy w Grotkach, pomagamy w Pabianicach, gdzie zagospodarowuje się teren za stadionem sportowym, tzw. Bugaj. Partycypowaliśmy przy

budowie ośrodka „Tramwajarza”. Stosujemy zasadę komasacji ośrodków, o której mówi się w artykule, i w planie 5-letnim suma funduszy tylko związkowych wynosi 15 milionów. To nie wszystko. Nie liczę tego, co ZG Zw. Włókniarzy włożył w ośrodki wczasowe w Spale i w Ustce.

Mówiono tu o wykorzystaniu campingów na wczasowiska. No cóż, zapotrzebowanie na wczasy w sezonie letnim znacznie przerasta ilość miejsc. Dlatego trudno trzymać te domki campingowe przez cały tydzień puste, po to by wynajmować je jeden raz, z soboty na niedzielę. Z ekonomicznego i praktycznego punktu widzenia byłoby to marnotrawstwo. Nie sądzę, żeby ta sprawa miała budzić w spo-

Wracano nam uwagę, że zakłady pracy same dysponują swoimi funduszami. Kiedy samorząd robotniczy postanowił zakupić cztery domki 5 czy 10 domków campingowych dla swojej załogi, trudno go nakłonić, żeby odstąpił od tego postanowienia i scedował pieniądze na kogoś innego, w zamian za mglistą gwarancję otrzymania w przyszłości określonej ilości miejsc czy domków w jakimś większym wspólnym ośrodku campingowym. W obliczu takiej presji pieniądze wykorzystuje się na inny cel, po to żeby nie dać ich do „wspólnego kotła”. Sądzę, że ta sprawa nie doczeka się szybkiego rozwiązania. Ale chyba sam fakt, że takie małe ośrodki campingowe powstają jest pozytywny i na tym etapie nie należałoby zakładowej inicjatywy hamować, gdy służy ona dobrej sprawie.

Narodowej. Gdyby teren kawiarni i basenu poszerzyć o ten właśnie las, powstałby naprawdę piękny ośrodek. No, ale z tym właśnie jest ambaras. GRN nie zgadza się na oddanie tego lasu we władanie administratorowi kawiarni i basenu, tj. ZS L.Z.S. Od dawna toczy się o ten las spór. Czy niepotrzebne jest jakieś ciało, które by potrafiło tego rodzaju spory rozwiązywać od reki w interesie ludzi pracy, mających jak wiadomo konstytucyjne prawo do wypoczynku? Albo niby marginesowa sprawa mapy, ale niebagatelna. Porozmawiając z ludźmi, którzy chcą wyjechać na niedzielę. Każdy w żywym kamieniu klnie, że nie znajduje mapy, mogącej pomóc mu w zorganizowaniu wycieczki. Kto, gdzie, jak — ma zająć się sprawą tej mapy? Drugi wielki problem — transport. Wszyscy wiemy, że długo jeszcze większość nie będzie mogła wyjeżdżać na weekendy własnymi samochodami czy motocyklami. Dlatego utarł się zwyczaj korzystania z państwowych środków transportu. Rady zakładowe, organizując wyjazdy, korzystając z fabrycznych autokarów i samochodów. Gdyby ten transport jakoś lepiej zorganizować, gdyby rady zakładowe dysponujące autokarami mogły współdziałać z jednostkami, które ich nie posiadają, byłoby to bardzo pożyteczne. Ale znów kto ta sprawa ma się zająć?

TADEUSZ STOLAREK:

Z autokarami jest rzeczywicie wyjątkowo wielki problem. Aktualnie obowiązujące zarządzenie Prezesa Rady Ministrów, że za autobus płaci się 110 zł za godzinę, i nie ma innego wyjścia. Organizująca wyjazd rada zakładowa musi płacić zakładowi te stawki. Wyobraźcie sobie, że wyjeżdża 30 czy nawet 50 pracowników na, powiedzmy, 10 godzin na wycieczkę. Koszt 1100 zł. Jest to jakiś absurd. Ludzie pracy muszą płacić za autobus zakupiony z funduszu zakładowego. Jeszcze jeden

rodadek. Pukamy w tej sprawie od dłuższego czasu do CRZZ i Min. Przemysłu Lekkiego. Bezskutecznie. Bo powiada, że ekonomia jest ekonomia. (GŁOS z sali: Prawdopodobnie sprawa ta ulegnie zmianie po kongresie związków zawodowych.) Ale czy rzeczywicie dla załatwienia tak prostej sprawy trzeba aż kongresu związków zawodowych? W tej chwili praktykuje się tak, że autobus odwozi wycieczkę, wraca do garażu, a wiceprezorem znów po nią jedzie, tracąc 3 godziny na dojazd i marnując paliwo. Oto macie ekonomie.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

turystyczna POLSKA B

leczeństwie poważne zastrzeżenia. Obiekcje może budzić fakt, że tych ośrodków campingowych jest za mało. W województwie łódzkim mamy kilkadziesiąt takich ośrodków, tylko jak je ewidencjonować? W ubiegłym roku znajdowały się w różnych miejscach, potem w zimie je rozebrano. W tym roku postanowiono je gdzieś indziej, a nawet wywieziono poza nasze województwo. Trudno temu zapobiec, trudno stosować jakąś politykę przymusu.

Tow. Stolarek sugerował, żeby budownictwo małych ośrodków campingowych podlegało kontroli ze strony WKZZ. Nie wydaje mi się to słuszne. Od kontroli, wydawania zezwoleń budowy są odpowiednie organa rad narodowych. Po za tym chcę tu zasygnalizować jeszcze jeden problem. Mówimy o potrzebie komasacji ośrodków na inwestycje wypoczynku. O ile można komasować fundusze centralne i w jakimś stopniu wojewódzkie — myślę o branżowych związkach zawodowych, o tyle komasowanie ośrodków z samych zakładów pracy napotyka nieprzezwyciężone trudności. Przekonał się o tym w trakcie odbytych narad na ten temat.

MICHAŁ WALCZAK:

W treści dyskutowanego tu artykułu, jak również w piśmie zapraszającym nas na to dzisiejsze spotkanie zawarta jest sugestia powołania jakiegoś ciała, które by zajmowało się całokształtem spraw wypoczynku. Moim zdaniem fakty przemawiają za tą sugestią. No, bo gdy pomniejszy organizator wycieczki nie może dogadać się z handlem lub transportem, to gdzie właściwie ma się udać? Weźmy pod uwagę przykład Włókniewa Góry. Jest tam basen, bardzo dobra woda, kawiarnia. Basen otacza ładny chociaż niewielki las, będący własnością Gromadzkiej Rady

PORÓWNIANIA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

(exemplum: wieloletnia żywotność — mimo jaskrawej niechęci Zachodu — planu Rapackiego, i co więcej — jego rosnąca popularność, warto słów kilka o drugiej). Przyczyniając się już bowiem do tego, że zewsząd otacza nas nowe i ani dostrzegamy, jak to nowe pnie Polskę w gospodarczej drabinie świata.

Posłużmy się trzema charakterystycznymi porównaniami.

◆ W latach 1951—60 produkcja przemysłowa świata wzrosła prawie dwukrotnie, w Polsce — prawie 3,5-krotnie. Wymowa tych liczb będzie jeszcze większa, jeśli dodamy, że nie zniszczone w takim stopniu jak Polska kraje kapitalistyczne odnotowały wzrost tylko 60-procentowy.

◆ W roku 1960 łącznie na świecie poziom przedwojenny przekroczone 3-krotnie, w Polsce 7-krotnie. Było to możliwe dzięki szybkiemu

wzrostowi uprzemysłowienia. Tylko w przemyśle pracującym na potrzeby inwestycyjne zatrudnionych było więcej osób niż w całym przemyśle Polski przedwojennie.

◆ I trzeci, najświeższy przykład: w roku ubiegłym przyrost produkcji przemysłowej w Polsce wyrażał się wskaźnikiem — 10,5%, podczas gdy przodujące pod tym względem wśród krajów kapitalistycznych Włochy ledwo przekroczyły 8%.

Wertowanie roczników statystycznych z lat 1937 i 1960 prowadzi do jeszcze innych porównań: produkcji głównych artykułów przemysłowych na głowę ludności w Polsce z analogiczną średnią produkcji światowej. Jeżeli średnia światowa przyjąć za 100, odpowiednie liczby dla

Polski będą: w roku 1937 — 80, w 1960 — 190.

Jednocześnie mamy do odnotowania sukces i w rolnictwie. Podczas gdy światowa produkcja rolna w roku 1960 wzrosła w stosunku do pierwszych lat powojennych o 30%, Polska — o 33%.

Te suche liczby wybrane spośród wielu określają awans gospodarczy Polski w latach powojennych. Awans tym cenniejszy, że kraj nasz przed rokiem 1939 był na mapie gospodarczej świata malowany barwami wielkiego dystansu w stosunku do metropolii kapitalizmu, i że nie udało się w Polsce przedwojennie osiągnąć nigdy poziomu wytwarzania z roku 1913.

Czy zagranica dostrzega te zmiany?

Nie tak dawno, bo z okazji

XXXI Międzynarodowych Targów Poznańskich, na łamach prasy zagranicznej ukazało się wiele artykułów o polskiej ekonomicznej i naszej ekonomice. Tylko że cydowani wrogowie narodu polskiego mogli „nie zauważyć” wciąż wzrastającego potencjału ekonomicznego kraju, równo przed 18 laty zaledwie zarysowującego swój dzisiejszy kształt. Ale i oni woleli przed czytelnikami nie odstać swego oblicza. Fakty są przecież uparte...

WIESŁAW BEK



„STRAŻ PRZYBOCZNA”

Gdy mówimy o filmie japońskim, myślimy przede wszystkim o Akio Kurosawie, o jego „Rashomonie”, „Tronie we krwi” i „Siedmiu samurajach”. Teraz dodamy jeszcze „Straż przyboczną”. Genialny artysta, jakim jest Kurosawa, dał w swych filmach najpełniejszy w historii sztuki filmowej obraz ludzkich namiętności.

Wielkość sztuki Kurosawy podkreśla to, że artysta potrafił przełamać opory, które w widzu wychowanym w odmiennym kregu kultury, mogą wywoływać konwencje japońskiej sztuki filmowej nierozdzielnie związanej z kulturalnymi i historycznymi tradycjami tego kraju. Oczywiście sprawą jest fakt, że film japoński nie jest dla szerokiego warstw konsumpcyjny, produkcyjny i dystrybucyjny łatwy w odbiorze, że filmy Kurosawy wymagają od widza znacznego wysiłku intelektualnego. Percepcję ułatwia jednak na pewno ogromna siła emocjonalnego oddziaływania, któremu służą historyczna i baśniowa stylizacja oraz ogromne walory plastyczne filmów Kurosawy. Sprzeciw, jakie mógłby w widzu europejskim wywoływać styl gry

aktorów japońskich łagodził swoje piękno tej konwencji.

Akio Kurosawa sam zdefiniował główną problematykę swych filmów — „mó-

walczymy. To, że w świat ludzi walczących mieczem wkracza w „Straży przybocznej” pierwszy człowiek z pistoletem szerzącym przerażenie i śmierć, podkreśla



wie w nich ciągle jedno i to samo — dlaczego ludzie nie próbują być szczęśliwi?”

To wielkie „dlaczego?” tkwi również w „Straży przybocznej”.

Straszliwy jest obraz świata ukazanego w filmie Kurosawy — dwie walczące na śmierć i życie strony biją się w imię czego? — pieniądza, sławy, zemsty i chęci zwycięstwa. Żadna inna szlachetniejsza idea nie przyswieca

jeszcze metaforyczność filmowi Kurosawy.

Scenerie rozgrywających się w filmie wydarzeń stanowią wioskę, a właściwie jej główny plac i otaczające go domy. To skondensowane akcje na tak małej przestrzeni tym bardziej dramatyzuje przebieg wydarzeń. Atmosferę nienawiści i grozy doprowadza Kurosawa w ten sposób do najwyższej kulminacji. „Straż przybocz-

na” utrzymana w konwencji eposu jest konsekwentna w rozwiązaniu przedstawionych zdarzeń — giną żli, cało uchodzą szlachetni lub przynajmniej niezaangażowani po żadnej stronie. Niewątpliwie optymistycznym akcentem filmu jest fakt uratowania się z pogromu rodziny, która ma się chyba stać zawiązkiem nowego, lepszego społeczeństwa. Z nazwiskiem Kurosawy i jego filmami łączy się nierozdzielnie aktor, który niewątpliwie jest współtwórcą wszystkich sukcesów reżysera — Tosziko Mifune. Wcielając się w postacie bandytów z „Rashomona”, Makbetha-Waszizu, samozwańczego samuraja czy wreszcie bohatera „Straży przybocznej” daje Mifune pokaz gry aktorskiej najwyższej miary. Samuraj przybywający do zwaśnionej wioski ma jedynie zamiar zarobić i naieść się do syta. Wcielony w bieg wydarzeń zaczyna prowadzić grę, która pozwoli mu nie angażować się po żadnej stronie. Znając ludzką naturę czeka na dopelnienie się losów band, które wymordują się bez jego pomocy. Żadna ze stron nie zasługuje na jego pomoc, udzieli jej zatem jedynie prawdziwie pokrzywdzonym — rodzinie, której pomoże uciec. Tosziko Mifune jest w swej roli wspaniały, mądry, bohaterski — jest jednocześnie rycerzem i plebejuszem. Jego bohater jest tym, dla którego znajdzie się miejsce w nowym, szlachetniejszym świecie. Na film Kurosawy patrzymy chwilami jak na balet — wszystko ma swoje miejsce, postacie nie wykonują jednego zbędnego ruchu, tłum rorusza się według matematycznie ścisłych obliczeń reżysera.



Marilyn Monroe

Czy zmierzchn MM i innych?

Wielka amerykańska wytwórnia filmowa 20-th Century Fox przeżywa wyraźny kryzys. Kasy wytwórni są puste, banki odmawiają kredytu. Film „Kleopatra” z Liz Taylor pochłonął niemal sumkę ponad 30 milionów dolarów. Realizacja filmu trwa już blisko 2 lata i jak wszystko pójdzie dobrze „Kleopatra” ukaże się na ekranach w lutym 1963 roku. Żadne szanujące się przedsiębiorstwo nie może sobie pozwolić na zamrożenie takiego kapitału na tak długi okres czasu. Czy film spełni pokładane w nim nadzieje i przyniesie oczekiwane ogromne zyski? Nie wiadomo, albowiem popularność czołowej gwiazdy Liz Taylor spada znacząco w Stanach Zjednoczonych od chwili ujawnienia jej nowego romansu z Richardem Burtonem. Popularność Liz w Europie nigdy nie była za wielka. Tymczasem spadają również akcje 20-th Century Fox. Z 50 dolarów na 20. Wszyscy akcjonariusze są zaniepokojeni. Na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Nadzorczej wyrażono pełną dezaprobatę pod adresem dyrekcji, zwłaszcza za jej nieczym nieumotywowane uleganie kaprysom Elizabeth Taylor. Niestety, na „ujarzmienie” Liz jest już za późno. 20-th Century Fox ruszyła więc do ataku na inną supergwiazdę, na samą Marilyn Monroe. Po dłuższej przerwie Marilyn, której ubywało, jak pisano, 7 kilogramów, powróciła do ateliery Hollywood, by wystąpić w filmie George’a Cukora (Les Girls. Zebro Adama) pt. „Coś się musi zawalić”. Partnerem jej został Dean Martin („Młode lwy”). Nowy film Marilyn miał być lekką komedią wkrzeszającą postać aktorki z najlepszych czasów, z epoki „Słomianego wdowca” i „Pół żartem, pół serio”. Film ten miał ją znowu postawić na Olimpie hollywoodzkiej. Jej pozycja zachwiała się bowiem nieco po dwóch ostatnich filmach, które nie przyniosły jej pełnego sukcesu („Kochajmy się” i „Słócenie z życia”). Potem był rozwój z Arturem Millerem, kryzys nerwowy i długotrwała rekonwalescencja. I

oto Marilyn, znów wróciła przed kamerę. To była jej wielka i kto wie czy nie ostatnia szansa. Tymczasem na 35 dni zdjęciowych aktorka pojawiła się w studio tylko 12 razy, a w sumie pracowała tylko 3 lub 4 dni. W międzyczasie chorowała, miała migreny i składała życzenia urodzinowe prezydentowi Kennedy’emu. Marilyn rzeczywiście pracuje teraz bardzo wolno — mówi jej sekretarka Patricia Newcomb — ale robi to ze względu na dobro roli. Nie chce być już tylko piękną gwiazdą, pragnie zostać wielką artystką. Po czterodniowej nieobecności Monroe w studio, wytwórnia zerwała z nią kontrakt, zastępując ją młodą gwiazdką Lee Remick („Anatomia morderstwa”). „Od początku robiliśmy wszystko, aby zadowolić Marilyn Monroe — oświadczył dziennikarzom przedstawiciel 20-th Century Fox. Zmieniliśmy dla niej scenariusz, czyniąc jej postać bardziej „sexy”, zaangażowaliśmy do niewielkiej roli aktora telewizyjnego Wally’ego Coxa, jednego z jej najnowszych przyjaciół...” Dean Martin nie zgodził się jednak na zamiar partnerki. Wobec tego Wytwórnia zawiesiła realizację filmu, wyrzucając w błoto ćwierć miliona dolarów. 20-th Century Fox nie uległa nawet presji słynnego klanu Sinatry („Rat Pack”, który jednogłośnie stanął w obronie Marilyn Monroe. Tak więc zaczęła się wojna między supergwiazdami i wytwórniami filmowymi. A jaki będzie los Marilyn Monroe? Wyrocznia Hollywood, znana plotkarka Hedda Hopper twierdzi, że to już koniec jej kariery. Marilyn ma 36 lat i boi się tego końca. Czy zmierzchn jej kariery oznacza również zmierzchn epoki wielkich, ekscentrycznych gwiazd, które trzęsły filmem i dyktowały prawa producentom?

M. K.

odgłosy str. 3

FILMY PRAWDZIWE

„CZARODZIEJ” i „NOC” — Najnowsze dzieła filmowe reż. Tadeusza Makarczynskiego, laureata Grand Prix za „Noc”, było chyba jednym z najbardziej wymienianych we wszystkich dyskusjach festiwalowych, które typowały faworytów do zdobycia „Wawelskich smoków”. Zrealizowany w tożsacznym „SEMAFORZE” „Czarodziej” jest kontynuacją filmowej wypowiedzi, którą Makarczynski rozpoczął w swym filmie „Życie jest piękne”. Symbole użyte przez Makarczynskiego są czytelne, ale nie naiwne czy banalne, służą zasadniczej idei potępienia wojennego szaleństwa, ukazania humanistycznych wartości, które należy stale odnawiać i rozwijać. „Czarodziej” potrafił się maskować, stopniowo okracając ofiary, by pewnego razu wymienić w rękach zaczarowanych zabawki na prawdziwe pistolety maszynowe, a lalki do których mierzy się z dziecięcą pukawką — zastąpić żywymi ludźmi. „Czarodziej” Makarczynskiego ze zdjęciami Jerzego Chłuski stanowi w swych wartościach artystycznych dzieło na pewno doskonalsze aniżeli „Noc” na-

Niemożliwością jest umieszczenie chociażby krótkich recenzji wszystkich filmów wyświetlanych w ramach II Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. Ograniczymy się więc do zrelacjonowania kilku wybranych pozycji spośród 70 wyświetlanych w Krakowie. Przy ich wyborze kierowaliśmy się nie tyle oficjalnym werdyktem jury Festiwalu, z którym polemizowaliśmy w poprzednim numerze, lecz raczej subiektywnym zdaniem widza festiwalowego.

grodzona i nagrodą Festiwalu. Niektóre symbole użyte w „Nocy” sprawiają wrażenie pewnego przeładowania, manieri, stąd chyba zaskoczenie wielu obserwatorów krakowskiego Festiwalu, że bardziej doskonałszy w swej formie „Czarodziej” wyprodukowany w Łodzi został pokonany przez bardzo dobrą, ale formalnie słabszą „Noc” wyprodukowaną w Warszawie.

ZA WINY NIE POPEŁNIONE — Wzruszający nie zawinioną tragedią dzieci poczętych przez rodziców alkoholików, dokument filmowy reż. Witolda Zukowskiego wyprodukowany w WFO w Łodzi. Zaletą tego filmu oprócz kultury i dyskrekcji z jaką ukazano chore dzieci jest

wydobycie sprawy, która w naszym społeczeństwie jest tak do tej pory przemilczana. Chodzi o skutki używania alkoholu przez kobiety ciężarne, przez rodziców w stadium poczęcia dziecka. Film nie straszy makabrycznymi zdjęciami, nie poucza sloganami, ale po prostu relacjonuje fakty i przy ich pomocy przekonuje.

DOKĄD IDZIECIE? — Takie pytanie stawia film produkcji Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego „Czołówka” żołnierzom zachodniemieckiej Bundeswehry. W skróty sposób, przy zastosowaniu dynamicznego montażu archiwalnych zdjęć filmowych, reż. Wolkei (podobno jest to pseudonim jednego z naszych czołowych dokumentali-

stów pracujących w WFO) przedstawia stałe odradzanie się militarystyki niemieckiej, niemieckiej soldateski. Brązowy „Smok Wawelski” dla realizatora tego filmu jest nie podlegającym dyskusji wyrocznieniem.

„CMENTARZ REMU” — Film reż. Edwarda Etlera należał na Festiwalu do tych, który zyskując wiele słów uznania, nie zdobył nagrody. To dzieło, nie uzyskało nagrody dlatego tylko, że klasyfikując filmy według gatunków, nie zdecydowano się na umieszczenie go w kategorii z szufladek — „dokumentalny” czy „oświatowy”. Filmowa impresja Etlera na temat cmentarza i synagogi Remu w Krakowie nie jest poprowadzona jakiegoś narzuconego tematu i stanowi na pewno subiektywne, ale bardzo ciekawe filmowe spojrzenie reżysera i operatora na zabytek sztuki, na jego związki z kulturą i tragicznymi losami narodu żydowskiego. Można powiedzieć, że „Cmentarz Remu”, jak to określają krytycy francuscy, jest filmem pisanym kamerą i znakomitym dziełem, umiejętnie wykorzystanym w konstrukcji dramatycznej dzieła.

„MALARZ ŚWIATŁA” — Tak określił Aleksandra Gieryskiego Bolesław Prus pisząc o jego twórczości malarskiej zawiązującej do dziś świetnością metod twórczej, znakomitej w oprowadzeniu światłem i kolorem, bardzo pokrewnej metodzie francuskich impresjonistów. Reż. Roman Woźniakowski przy udziale historyka sztuki prof. Juliusza Starzyńskiego ukazał twórczość jednego z braci Gieryskich właśnie od strony metody twórczej, dając o. prócz krótkich informacji biograficznych filmową monografię malarstwa Aleksandra Gieryskiego. „Malarz światła” jest dziełem filmowym żyjącym własnym cyklem, odznaczającym się komunikatywnością, zresztą unikającym schematu szkolarskiego wykładu z historii sztuki. Kilka słów należy się zdjęciom barwnym wykonanym na taśmie Agfa-color przez Wiktora Prejsa. Potwierdza się prawda, że nawet na nie najlepszym surowcu można uzyskać zadowalające a nawet świetne zdjęcia barwne.

A. N.



Kadr z filmu „Noc”

Najstarsi działacze kulturalni Łodzi

(Dokończenie ze str. 1)

chóralski, plastyczny, dziecięcy i dla dorosłych, instrumentalny, wokalny i kilka innych). P. Szarowska jest motorem i duszą ich wszystkich. Mieszka właściwie tam rano, a wychodzi o 20, 21, a często i w nocy jedzie na próbach ze „swolmi” dziećmi — jak ich nazywa.

Jest człowiekiem, którego praca jest niewypłacalna, ale p. Szarowska należy do tych działaczy, którzy pracują z potrzeby serca, nie dla korzyści, nie pytając co za to będą mieli.

— Teżeba lubić ludzi i mieć do nich zaufanie, do młodzieży zleć i dobrej, trzeba mieć do nich osobisty stosunek, wieść ich, rozumieć.

Pani Szarowska ma do czynienia z ludźmi najróżniejszymi wiekiem, przynależnością społeczną i zawodową. Ma w swych zespołach ogromny procent młodzieży robotniczej, ale nie tylko młodzieży. Rozpiętość wieku jest znaczna — od najmłodszych 7-letnich przedszkolaków, których przegarnęła do „swolmi” „Azylu” po 70-letnią starszą panią, pełną jeszcze zapалу, która chce grać w zespole teatralnym. Zespoły mała swój samorząd — aktywnie bez którego jak egzekutor nie twierdzi nasza bohaterka nie dałaby sobie rady.

Działalność jej nie ma w sobie nic ze schematu, z automatyzacji. Robi to co aktualnie najbardziej potrzebne, a co nie zawsze daje się łatwo przeformować. Oto przykład: bywalcy ŁDK zauważyli zapewne na drzwiach jednej z sal pierwszego piętra napis: „Nasz Azyl”. Co kryje się pod tą nazwą? Jest to świetlica — dzieło p. Szarowskiej, do której przychodzi dzieci z najgorszych domów, dzieci alkoholików, prostytutek, przestępców, dzieci, które same mają już często na swym koncie wyroki sądowe, a zaczęło się wszystko od chłopca, który nie miał się gdzie podzić, ponieważ matka przyjmowała właśnie u siebie „przyjaciela”, i prosił bym mu pozwoliła pośiedzieć na próbie, bo mu zimno na dworze. Potem zaczęło przychodzić więcej. W tej chwili jest czterdziestu kilku. Więcej przyjąć nie można, choć wciąż napływają nowi. „Azyl” jest dla nich ogromnym dobrodziejstwem w sensie wychowawczym. Zamieszkała waleś się po ulicy, kłóciła, wywoływała awantury, siedziała przy telewizorze, czytając czasopiśma, mają gry, bezplatny film co pewien czas w kinie ŁDK. W zamian za to muszą przychodzić w miarę czysti i zachowywać się przyzwoicie, pilnują się zresztą nawzajem, mają wybrany spośród siebie samorząd. To oczywiście nie wyczerpuje wszystkiego co p. Szarowska z nimi dokonała, jest to materiał na całkiem osobny artykuł. Praca wychowawcza p. Szarowskiej ma swoje znaczenie także w odniesieniu do starszych członków zespołu, dla których praca w ŁDK jest wielką szansą życiową i wielką radością po ciężkiej, często fizycznej pracy. P. Szarowska wciąż urzeczona formą pracy, twierdząc, że to koło nie ma w warunkach wielkiego miasta, bardzo trudnych dla ruchu amatorskiego, i że przecież istnieje wielka konkurencja teatrów zawodowych. Dlatego wciąż eksperymentuje, szukała dróg artystycznego wyrazu. Co roku kilka osób przechodzi do ruchu zawodowego, zdaje do Szkoły Aktorskiej, do Wyższej Szkoły Plastycznej. Pani Szarowska ma swoich wychowanków w Odrze, w teatrach, w Wojskowym Zespole Pieśni i Tańca; jeden z jej wychowanków, siostra z Domu Dziecka, którym zajęła się, śpiewa w „Mazowszu” i przeżyła z najodleglejszych stron świata stopy pocztówek osobie, której tyle zawdzięcza.

Wielkie zasługi dla ruchu kulturalnego naszego miasta ma także obecna dyrektorka Liceum Sztuk Plastycznych p. Zofia Machekowa. Prowadząc szkołę dla instruktorów teatru ochotniczego, potem Liceum Kulturolno-Oświatowe, przez kilka lat pozostawała w centrum działalności szkoleniowej kadr kulturalnych. Osobistym jej hobby — jak mówi — jest teatr amatorski, zwłaszcza teatr szkolny. Tak jak p. Szarowska wychowywała młodzież uzdolnioną aktorsko i zarządzała ją bakcytem teatru, zachęcając do nauki w tym kierunku. W swej szkole dla instruktorów teatralnych miała między innymi zewca wiejskiego, jak się zorientowała bardzo uzdolnionego, dokonała więc rzeczy z kategorii prawie niemożliwych. Nakłoniła dziewczana Wydziału Reżyserii, żeby go przyjął do siebie. W swej szkole dla instruktorów teatralnych miała między innymi zewca wiejskiego, jak się zorientowała bardzo uzdolnionego, dokonała więc rzeczy z kategorii prawie niemożliwych. Nakłoniła dziewczana Wydziału Reżyserii, żeby go przyjął do siebie. W swej szkole dla instruktorów teatralnych miała między innymi zewca wiejskiego, jak się zorientowała bardzo uzdolnionego, dokonała więc rzeczy z kategorii prawie niemożliwych. Nakłoniła dziewczana Wydziału Reżyserii, żeby go przyjął do siebie.

Człowiekiem, który wyrósł z ruchu amatorskiego ale w Polsce przedwojennej, więc w sytuacji gdzie warunki epizy jające ochronie talentów ludzi niezamożnych nie istniały, jest Zygmunt Nowicki — aktor teatru Jaracza. Na jego przykładzie zorientujemy się jak wyglądał wtedy niezawodowy ruch artystyczny. W warunkach rodziny robotniczej, wielodzietnej nie mógł oczywiście marzyć o nauce. Od 14-go roku życia związał się z robotniczym teatrem amatorskim na Widzewie. Występował w lokalach fabrycznych, na wycieczkach, nielegalnych masówkach. W r. 1931 TUR, którego był członkiem organizował w Filharmonii, która była wtedy salą do wynajęcia odczyty z udziałem wybitnych działaczy, m.in. Próchnika, Wasilewskiej, po których wchodziły artystyczne odbywały się występy sceny robotniczej. Na program ich składały się utwory poetów takich jak Broniewski, którego wtedy nikt nie czytał. Szymański, Tuwim, Majakowski, a więc poezja zaangażowana politycznie. Lokalu udzielał im zawsze jednak na krótko to związki klasowe, to jakaś inna instytucja, ale były i okresy, gdy w ogóle nie mieli sceny i grali w parkach, w Helenowie, na Mani. Dekoracje robili sami za skromne swoje fundusze w piwnicach u kolegów. Pracowali po nocach z ogromnym entuzjazmem i oddaniem. Ale za ich wysiłkiem widzowie odpłacali im z nawiązką. P. Nowicki twierdzi, że wtedy już potem nie miał tak gorącej publiczności jak ówczesni robotnicy.

Ta robota kulturalna emulowała wielkie zadanie, podtrzymywała robotników w ich dążeniach, uzupełniała ich luki w wykształceniu. Sami aktorzy sceny robotniczej przeobrażali na własną rękę kurs PISTU (Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej), a braki warsztatowe, jeśli były takie uzupełniało doskonale silne zaangażowanie w to, co robili, że i dzisiaj.

W Polsce na przeciętne wyobrażenie o Rumuni składają się: nafta, wino i Cyganie. Oczywiście jest to uproszczenie równoważne nie mówiącemu banałowi, nie mniej można je uważać za oddający istotę rzeczy stereotyp. No i jak każdy stereotyp wymagający dla właściwego zrozumienia tła historycznego. Co innego ten stereotyp będzie znaczył przed pierwszą wojną światową, co innego w międzywojennym okresie, a co innego obecnie.

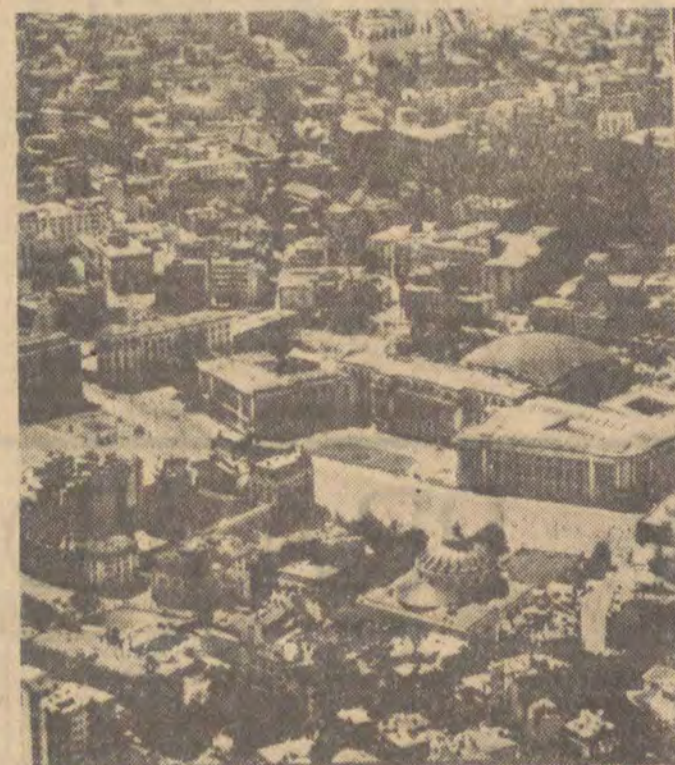
Zazwyczaj z naftą kojarzy się bogactwo, z winem weselość, z Cyganami beztroska fantazja i czuła romantyka. Tymczasem w przedwojennej Rumunii rzeczywistość zadawała kłopoty tym skojarzeniom, przedstawiając ponury obraz powstającej nędzy, beznadziejnego smutku, wzajemnej nieufności i uświeconego oszustwa. Jak wiadomo przedwojenna Rumunia była królestwem. Pod zewnętrznym jednak, że tak powiem, lawio-pysznym błyskiem rodzimej królewskości krył się obokapitalistyczny wyzysk, swojska krzywda, uciemiężenie i ciemnota — czego symbolem był gest szamotaniny złochem, skrzający od świecideł officer i wynędzniały, w przepoconych łachmanach i boso żołnierz.

A przecież Rumunia, to jeden z najbardziej udarowanych w bogactwa naturalne kraj w Europie, a już jedyny pod tym względem ze wszystkich krajów leżących w tzw. basenie naddunajskim. Prócz nafty, wina i Cyganów Rumunia obfituje jeszcze w bogate zasoby węgla i pszenicy, żelaza i kukurydzy, soli kamienniej i drewna, manganu, ołowiu, miedzi, cynku i bydlę, wełny, cukru oraz olejów słonecznikowych i rzepakowych oraz srebra i złota (największe w Europie poza Związkiem Radzieckim). A do tego dochodzą jeszcze przeróżne i rozmaite owoce, a także bawelna, tytoń i nawet ryż. No więc który kraj w Europie zrówna się z tymi naturalnymi bogactwami i płodami ziemi? A przecież nie wspomnieliśmy jeszcze wcale o przelicznych odmianach ryb rzecznych i morskich, o łowiectwie domowym i dzikim, i naturalnym zwierzęstwie.

Ustrój królewski w Rumunii był więc symbolem narodowej nierządności i ubóstwa. A trwał dostatecznie długo, żeby jego zadawnione dziełstwo odrobić w ciągu krótkich i trudnych kilkunastu lat obecnego ustroju ludowego. Kolosalne zmiany w stosunku do Rumunii przedwojennej znać na każdym kroku zarówno w miastach, jak na wsiach, a nawet w samym krajobrazie (olbrzymie uprawy spółdzielcze i nowe obiekty przemysłowe), ale pozostałości dawnych czasów są jeszcze dość widoczne, choć nie one są wyznacznikami rozwoju, a więc cechami określającymi charakter współczesnej Rumunii. Niemniej niepodobna ich nie widzieć i trzeba jeszcze o nich mówić, żeby zdać sobie sprawę z olbrzymich wysiłków przebudowy starych stosunków społecznych i warunków bytowych w nowe i nowoczesne.

Dodatkową trudność stanowi jeszcze historia, geografia i etnografia tego niezwykle ciekawego kraju. Mimo, że historia tego kraju

liczy sobie około dwóch tysięcy lat, to historia zjednoczonego narodu rumuńskiego nie więcej, niż sto lat. A właściwie akurat w bieżącym roku równe sto lat, bo w roku 1862 nastąpiło zjednoczenie się w jedno księstwo rumuńskie dwóch średniowiecznych księstw — gospodarstw, Mołdawii i Wołoszczyzny, które jak wiadomo były w XIV wieku przejęciowo lennem Polski, a potem na pięć prawie wieków popadły w niewolę turecką, czego ślady w licznych dotychczas po miastach i osiedlach mahometańskich budowach, dzmianach i meczetach. A co było przedtem? Przedtem byli tu przez dwa wieki po Chrystusie Rzymianie, ich ślady przetrwały do dziś (wały obronne i mosty na Dunaju, Trajana), byli także Grecy, poprzedzając Rzymian, a potem przez kilkanaście wieków hulali po beznadziejnych ruinach naddunajskich i nadmorskich Goci, Hunowie, Scyty, Bulgarzy, Tatarzy, Serbowie Węgrzy, Cyganie, Rusini, Niemcy, no i wreszcie Turcy. Wszystkie te szczepy, plemiona i narodo-



Notatki z podróży

MARIAN PIECHAL

WSTĘP do RUMUNII

wości pozostały w mniejszych lub większych grupach na terytorium całej Rumunii do dziś. Nawet Grecy, Tylko Rzymianie zniknęli, pozostając jedynie (ale za to na trwałe) w języku współczesnych Rumunów, aczkolwiek

z licznymi bardzo zniekształceniami i wtętami pozostałości mieszaniny narodów. Potomkowie pierwotnych mieszkańców Rumunii, Daków, niewolników Rzymu, z dumą przyjęli nazwę dla swego kraju od stolicy swych

łopacze, bibosze, ochlapusy i oliwiarze — sadzimy, że zwiędzających nie zabraknie. Autorami rysunków są abstrakcyjni: Karol Baraniecki, Jerzy Ibis-Janowski, Kazimierz Mozolewski i Józef Skonieczny.

W publikowanym w swoim czasie artykule pt. „W Łowiczu i gdzie indziej” pisałem o „nieobrotowym” zespole regionalnym z Białej, przypisując rzecz całej Łeczy. Otrzymałem niedawno pismo z Wydziału Kultury Powiatowej Rady Narodowej m. Łodzi domaga-

ność i świeżość. Ta drwina z mocy piekielnych będzie się na pewno podobać łódzkim widzom. Reżyser przedstawienia, Feliks Zukowski, zachował dekoracyjną (Otto Axer) i muzyczną (Kiesewetter i Raczkowski) ramę inscenizacji schillerowskiej, wniósł jednak wiele nowego, jeśli chodzi o stylizację sytuacyjną. Zukowski, pierwszy odtwórca roli Marcina Kąbata w spektaklu Schillera, gra ja również obecnie (na przemian z Kazimierzem Iwińskim).

Recenzję z tego spektaklu dawno oczekiwanego i będącego niewątpliwie cennym przypomnieniem do roku twórcy Teatru Ogromnego, zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

ciemieńczyli (od Roma — Romanian).

To Zjednoczone Księstwo Rumuńskie sprzed stu lat było dość małym państwem, liczącym zaledwie 6 milionów ludności, ale rychło zmieniło się w Królestwo i przylączyło do siebie nadczarnomorską Dobrudżę, a po pierwszej wojnie światowej Banat z pogranicza węgiersko-serbskiego. Siedmiogrod i Bukowinę dotychczas węgierskie oraz Besarabię dotychczas rosyjską. Ludność wzrosła do 16 milionów, ale wzrosły także różnice narodowościowe i ogólny chaos gospodarczy. Po drugiej wojnie światowej Bukowina, Besarabia i część Mołdawii znalazły się w granicach Związku Radzieckiego, a południowa Dobrudża przypadła Bułgarii, dzięki czemu obecna Rumunia, chociaż liczy 18 milionów mieszkańców na obszarze około trzech czwartych naszej PRL, zredukowała znacznie swe mniejszości narodowe na rzecz jednolitości rumuńskiej.

Niemniej geografia Rumunii odpowiada jak gdyby jej etnografii, to znaczy różnorodności krajobrazu różnorodności narodowościowa. Jednak w przeciwieństwie do Jugostawii, w której żaden naród nie stanowi większości absolutnej, Rumunia jest krajem o bezwzględnej przewadze Rumunów. To ułatwia w znacznym stopniu trudny proces scalania i zrastania się w jeden organizm ten tak młody stosunkowo i różny pochodzeniem etnicznoplemiennym naród, Rumunia to jeszcze w pewnym sensie gorący tygiel, w którym się wytapia ze sprzecznych nieraz elementów jednolity twór narodowy i kulturalny. Socjalizm to ożywcze drożdże dla bardzo złożonej wartości tego tygla. Dlatego tak ciekawa jest obserwacja tego kraju i tak pouczające wnioski narzucające się z tych obserwacji.

Podróż po Rumunii to nie tylko satysfakcja oglądania bogactwa krajobrazowego tego kraju, podziwiania tzw. cudów natury i doznawania na sobie błogich skutków aury i łagodnego klimatu, ale także i przede wszystkim satysfakcja głębokiego przeżycia naocznie zachodzącego procesu historycznego: powstawania jednolitego narodu z zadawnionego chaosu etnicznego.

Nareszcie przystąpiono do opracowania nowego „Przewodnika po Łodzi”. Tym razem nie będzie to założone i humorystyczne wydawnictwo „OmniPressu”, ale rzeczowa i solidna publikacja wydana staraniem Komitetu dla Spraw Sportu i Turystyki.

J. W.



Od jesieni otwiera w Łodzi swe podwoje pierwszy w Polsce Handlowy Dom Wyszukiwy. Jak wiadomo, przewaga handlu korespondencyjnego jest bezsporna — klient nie może za usterki nasobaczyć wprost.

Ileż musi uciekać się do listownych wymysłów. Podobno łódzcy satyrycy zacierają ręce. Zorientowani twierdzą, że handel korespondencyjny daje satyrze większe nawet możliwości niż samoobsługa w tramwajach.

W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki eksponowana jest wystawa rysunków „Karuzeli”. Ponieważ tematem ekspozycji jest „czysta wyborowa” oraz wszelkiego rodzaju plajacy, wydmukle, gebochłaje,

łopacze, bibosze, ochlapusy i oliwiarze — sadzimy, że zwiędzających nie zabraknie. Autorami rysunków są abstrakcyjni: Karol Baraniecki, Jerzy Ibis-Janowski, Kazimierz Mozolewski i Józef Skonieczny.

W publikowanym w swoim czasie artykule pt. „W Łowiczu i gdzie indziej” pisałem o „nieobrotowym” zespole regionalnym z Białej, przypisując rzecz całej Łeczy. Otrzymałem niedawno pismo z Wydziału Kultury Powiatowej Rady Narodowej m. Łodzi domaga-

widoków i tajemniczych uł-
czek o zmierzchu.

Tak też było i z Domem
Kultury. Pokazano mi już
cały, oprócz tej sali wido-
wiskowej, która mieści się
w innym gmachu. — Jutro
również jest dzień — usiło-
wałam oponować, ale skąd!
Marek Wawrzkiwicz nie
ustąpił — kulturą się nie
interesuje, więc o czym za-
mierzam pisać reportaż? —
a widowiskowa sala jest sty-
lowa w starym gmachu po
jakimś junkrze, więc dlatego
najlepiej wygląda właśnie
wieczorem.

No więc trudno, poszłam
oglądać tę salę widowisko-
wą Powiatowego Domu Kul-
tury, która wieczorem jest
„wiecej stylowa”. Sala rze-
czywiście, nie najgorsza, du-
ża, z ładną sceną, wysokimi
oknami. — Tak jest, panie
dyrektorko, i owszem, sty-
lowa. — Godzina późna,
światła przyćmione, lecz
jeszcze kilka osób czytało
gazety, dwóch grało w szachy.

— Oj, jest — powiedział
nagle Marek Wawrzkiwicz.

Zanim zdążyłam zapytać
się — kto? — smagły,
szczerzy mężczyzna podszedł
do nas. — Jeżeli pani in-
teresuje nasze miasto — po-
wiedział — mógłbym udzie-
lić trochę informacji. Jestem
sekretarzem Prezydium Rady
Narodowej. W Kamienniej
Górze musimy zaczynać od
elementarnych początków, a
chcemy, aby nasze miasto
stało się pierwszym w województwie, nie było kopciusz-
kiem — mówił szybko, a ja
pomyślałam po raz pierwszy:
„fanatyk”.

Gdybym zaproponował
mu zorganizowanie ogólnopolskiego sympozjum mło-
dych poetów, uzasadniając,
że Kamienna Góra zyska na
takiej imprezie trwałe war-
tości kulturalne, on oświad-
czyby tylko: w porządku,
to kiedy? — opowiadał Marek
Wawrzkiwicz.

Fanatyk — utwierdzi-
łam się w pierwszym prze-
konaniu. Ale mogłam się po-
mylić, psychologiem nie
jestem. I chociaż już po
piętnastu minutach, Witold
Jamont zarzucił rzeczowy
styl rozmowy, odwołując fał-
szywy epitet, ale muszę wy-
jaśnić, że nie użyłam go w
negatywnym znaczeniu. Po
prostu: odzwyczailiśmy się
już do bohatera pozytywnego.
Rzadko spotyka się ta-

kich oddanych sprawie dzia-
łaczy. Kiedyś, w Łęczycy,
spotkałam podobnego zapa-
leńca. Architekt powiatowy.
— Ciasne i prowincjonalne
miasteczko — powiedziałam
nieostrożnie i ten architekt
oburzył się. Zaprowadził
mnie na jakieś zachwaszczo-
ne pole, patykiem wyrso-
wał plan przyszłego osiedla,
które wybuduje na tym zachwaszczonym polu, ulice
rysował sklepy, domy, na-
wet balkony, jakie będą w
tych domach. — Pani nie ma
wyobraźni — powiedział.

Tak i tu w pierwszej
chwili zawiadła mnie wyo-
braźnia. Wyobraźnia, niestety,
tepleje, pod naporem roz-
maitych hasel, jakimi kar-
mią reporterów rozmaici
„działacze” z niw, przydial-
no-urzędniczych. Ale teraz
już rozumiem pana i widzę
to, o czym pan mówi. Więc
na Górze Parkowej, powiada
pan, za dwa lata powstanie
Park Kultury i Wypoczynku?
Czy to nie jest zbyt długa i
zbyt szumna nazwa? Lecz
mniejsza o nazwę, zresztą, być
może, ma pan rację — lu-
dzie lubią, jak się dumnie
nazywa ich miejscowe obiek-
ty. Więc widzę: amfiteatr z
muszlą koncertową i letnim
kinem, wesołe miasteczko dla
dzieci — huśtawki, piekielne
młyny, czy tak? Dobrze wi-
dzieć? — basen kąpielowy,
letnia kawiarnia pod kolo-
rowymi grzybami parasoli;
długi, lekki pawilon, — ko-
niecznie biały — to klub
prasy i „książki”, wystawy,
stoiska, no i ta plaża na po-
łudniowym zboczu góry z
wypożyczalnią leżaków. Pięć
milionów? — poważna su-
ma, ale na pewno warto za-
inwestować ją dla dobra
miasta.

Oczywiście, proszę pana,
przez miasto rozumiem: lu-
dzie, Mieszkańcy.

Właśnie, ci mieszkańcy.
Narzeka pan, że brudzą, że
śmieca, nie dbają o swoje
miasto. Że we własnym do-
mu, nikt nie rzuca papier-
ków na podłogę, a tu, za-
miast do koszy, rzucają na
chodnik. Proszę pana. Zda-
rza się i we własnym domu,
tylko, że potem żona głowę
suszy, że wymyśla. Niech więc
pan nie ubolewa nad tą su-
mą dziewięciu tysięcy zło-
tych, którą kamienioogórzan-
ie zapłacili tylko w jednym
miesiącu kwietniu za nieu-
porządkowane klatki schodo-
we, piwnice i strychy. Ani



Kamienna Góra. Podcienia w rynku
Fot. Z. Flach

BOHATEROWIE NIE SĄ ZMĘCZENI

(Dalszy ciąg ze str. 1)

nad karami udzielonymi
dwudziestu pracownikom
handlu za brud i bałagan w
pomieszczeniach sklepowych.
Przypomnę panu, co powie-
dział jeden majster z
DoFaMy, że „ludzie, to jak
dzieci, i dokąd się ich nie
ukarże, to dalej swoje ro-
biają”. W domu żona, albo
teściowa pilnuje, tak samo i
miasto musi pilnować — na-
kłada mandaty.

Powinno pan — chuligani.
Chuligani w kilka dni po-
niszczyli świeżo założone ko-
sze uliczne, a krzaki z ży-
wopłotu przy rynku, pokrad-
li. Tak, ale gdzie nie zda-
rza się podobne wypadki.

Nie, ja nie jestem pesy-
mistką. Tylko ludzi nie moż-
na zmienić ani wychować
jednym magicznym zaklę-
ciem.

Łatwiej wieżowiec wybu-
dować, niż zmienić człowie-
ka. Sam pan tak mówił. Po-
wtarzam pana własne słowa.
Właśnie, — i o młodzieży
należy pamiętać. O niej

przede wszystkim. To już
nie frazes, że młodzież jest
przyszłością tego miasta.
Prognozy demograficzne wy-
kazują stały wzrost przyro-
stu ludności. O sto procent
jest wyższy wskaźnik przy-
rostu naturalnego w powie-
cie kamienioogórskim od
przeciętnego wskaźnika kra-
jowego. Zaglądałam do sta-
tystyk, stąd wiem. Poważna
sprawa. Chwilczkę, że in-
formację muszę zapisać —
to jest 28,6 — ten wskaź-
nik? Czytelnicy nie lubią
cyfr, ale tę im podam.

Wiece co robicie dla mło-
dzieży? Bo wesołe miastecz-
ko, chociaż bezwzględnie po-
trzebne i przydatne, nie
rozwiąże problemu tamtej
liczby. No, tych dwustu
dzieci „moralnie zaniedba-
nych”.

Owszem, opowiadano mi
o tej tragedii. Wstrząsnęła
opinią publiczną i społecz-
ną. Dobrze, że pan również
rozdziela te dwa pojęcia,

gdź opinia publiczna, a spo-
łeczna, to często antypody.
W tym wypadku — jedna-
kowo zareagowały. To już
coś znaczy, prawda? — jak-
by wspólna świadomość i
poczucie odpowiedzialności.
Pan znał tego ojca? — Ro-
botnik i dużo dzieci, liczna
rodzina. Jeden jego syn sy-
stematycznie kradł. Ojciec,
który nie umiał zapobiec
przestępstwu syna, popeł-
nił samobójstwo, zostawia-
jąc sześciu osób bez środ-
ków do życia. Tak mi opo-
wiadano.

A co szkoła? Organizacje
młodzieżowe?

Ale Jamont, zniecierpli-
wiony, macha ręką.

„Wychowawcy w szkołach
wykazują brak głębszego za-
interesowania warunkami
domowymi dziecka, jego spo-
sobem spędzania czasu poza
szkołą. Ich kontakt z rodzi-
cami jest prawie żaden. Ale
oczywiście, nie wszystkich
pedagogów dotyczy ta sce-
petyczna dygresja. Wielu na-
uczycieli można by było w
taki pochoptny sposób skrzy-
wić. Jednak generalizując, —
to nauczyciele są przemęcze-
ni pracą, jest ich za mało
w Kamienniej Górze, w szko-
łach panuje ciasnota lokalo-
wa trudno uczyć w podob-
nych warunkach, a co do:
piero — wychowywać.”

Wszyscy mieszkańcy wy-
chowawcami wszystkich
dzieci — tak powinno
być. Bo widzi pani sa-
me osiągnięcia gospodar-
cze nie wystarczą. Nie wy-
starczy, że obok tych szkół,
które już mamy, staną w
krótkim czasie nowe, nie
wystarczy Park Kultury, ani
stacja przekąskowa — te-
lewizji, jaką zakładamy w
Kamienniej Górze, ani zie-
leńce, trawniki, nowe bloki
mieszkalne. Spółdzielnie
mieszkańcowskie, odremontowa-
ne muzeum kamienioogórskie,
trzy kina, i planowane no-
we, to na Górze Parkowej,
ani szesnastu milionów zło-
tych, jakie miasto włożyło
w kapitalny remont prawie
trzech tysięcy izb mieszkal-
nych, ani tych około dwiesięć
izb z nowego budownictwa,
ani nowe sklepy, które się
otwierają, ani wszystkie inne
sukcesy ekonomiczne, które
niewypłynie posiada nasze
miasto. Bo ludzie nie lubią
być wychowywani. Dlatego
trzeba zacząć od podstaw —
najpierw ukształtować wz-
ajemne stosunki między ludź-

mi. Przecież na takich wz-
ajemnych relacjach opiera się
dzień powszedni. Na przy-
kład, żeby taki przełożony,
„szef” traktował jak równego
swego podwładnego. Pani
się uśmiecha. Ale to przecież
tak jest, że kto jest szefem,
ten od razu odnosi się z
wysoką do biednego urzęd-
niczyny, prawda? Rozumie
wiece pani, o co chodzi. — O
kulturę na co dzień. Wtedy
ludzie przestaną zaśmiecać
ulice, łamać krzewy, upijać
się po knajpach, podrzucać
dzieci do Domu Dziecka. I
w tym sensie użyłem powie-
dzenia — wszyscy wycho-
wawcami wszystkich dzieci.
Zapewni odpowiednie war-
unki ekonomiczne, to bar-
dzo dużo, ale jeszcze trzeba
życziwości i serca. Ludzie
dorosli też tego samego po-
trzebują. A pani zaraz my-
śli, że fanatyk, że pozytyw-
wista. Dzieci trzeba otoczyć
serdecznością, niektóre nie
mają rodzin, więc trzeba im
zastąpić rodziny, to wszystko
trudne, prawie utopijne, ale
chyba możliwe. Zobaczymy.
Może się uda. Najpierw po-
możemy rodzinom, które
znajdują się w ciężkiej sy-
tuacji materialnej, a jedno-
cześnie podejmujemy szeroką
kampanię wychowawczą. Od
tego będzie komisja koor-
dynacyjna przy Komitecie,
która podejmie szereg prak-
tycznych środków do roz-
wiązania problemów wycho-
wawczych. Zamienimy obec-
ne świetlice dziecięce — tym-
czasowe „przechowalnie”,
nie więcej bo w nich dzieci
traktują jak bagaż, na świet-
lice w właściwym tego sło-
wa znaczeniu, kierując do
nich wykwalifikowane siły
pedagogiczne i instruktor-
skie, dostaną się porządne
ciężkie ZHP, który, choć po-
siada praktyczne możliwości
wychowawcze, jest organiza-
cją martwą, podobnie ZMS;
od września utworzy się
Młodzieżowy Dom Kultury.
Najlepiej, to niech pani przy-
jedzie do nas za pół roku,
wtedy powiem, czy moje
hasło było utopijną mrzonką,
czy nie. Bo to nie frazes, że
młodzież jest przyszłością
naszego miasta, i że chcemy
jej młodzież uczynić szczęśli-
wą. Ja wiem, to tak brzmi:
„nieznośność, napuszenie, ale
pani potrafi inaczej to napi-
sać. Tak, żeby inni w to
uwierzyli”.

EWA OSTROWSKA

JANUSZ ROSZKO

List z Krakowa

Krowa historii

Cierpię, Kochany Redakto-
rze, bo pragnę znaleźć uniwer-
salną formułę, na określenie
istoty miasta, w którym żyję.
Czasami nawet felietoniści
miewają napady poważnego
myślenia, co tym bardziej na-
leży im wybaczyć. Kraków
składa się z Wawelu, Wisły i
„Cracovii”, która z reguły
przeżywa na własnym boi-
sku, z Plant i Błoni, na któ-
rych do dziś pasą się krowy
— tuż przed frontonem Muze-
um Narodowego. Miał być też
stadion olimpijski, którego
budowę zaczęto przed wojną,
ale nikt nie miał zamiaru
kontynuować jej po wojnie.
Miał być... Pal diabli, co
Kraków miał i mógł mieć.
Ma Nową Hutę. A więc Kra-
ków to coś takiego, co mie-
ści się między Wawelem a
Nową Huta. Miedzy jednym
a drugim jest tysiąc lat róż-
nicy. Miedzy kamienną ru-
tundą Feliksa i Adauka —
a szeregiem Wielkich Pieców.
Są tramwaje, autobusy pos-
pieszne, kawiarnie i pół milio-
na ludzi. „Cracovia” dzieli
— „Wista” pany, jedzą za do-
rożkami, — napis spotykany
na każdym płocie. Kraków
jest narodowym panteonem
i miastem wielkiego przemy-
słu. Kraków jest...

Cierpię, bo cóż to są za
formuły. Żadna nie oddaje
prawdziwej istoty rzeczy. Jaki
jest Kraków współczesny?
Ba, Prezydent MRN wyło-
żyło grube tysiące na konkurs
pod tym hasłem na reportaż.
Reportaże nadeszły, pisał
same tuzy — ale podobno nie

bardzo wiadomo, jaki ten Kra-
ków. współczesny jest na-
prawdę. Wiece co ja, skrom-
ny skryba, mogę Panu Redak-
torowi powiedzieć o Krako-
wie? Ale działam na zasadzie
kolejdy. Tej o trzech królach.
„Nie monarchów nie odstra-
sza...” i temat ciągnę, „jako
żywo. Chociaż królów w pew-
nym momencie coś odstraszyło
od Krakowa — bo przeniesi
stolicę do Warszawy. Wpraw-
dzie Marian Żalucki wytłuma-
czył krakowianom, że nie nie
stracili — bo gdyby zachowali
stolicę, to mieliby pod Wa-
welem Pałac Kultury. Naj-
wyższą Izbę Kontroli na kar-
ku i inne straszne rzeczy. Po-
czym sam przeniosł się do
Warszawy. Tak więc liczba
krakusów na szczeblu najwyż-
szym znacznie się powiększa-
ła.

Mógłbym w tym miejscu
złożyć pewną poprawkę i
szukać nieco łatwiejszej od-
powiedzi na łatwiejsze pyta-
nie: czym jest Kraków bez
Żaluckiego? Miastem mniej
satyrycznym, to pewne. Bez
zasługi pana Mariana. Niech
powiada, że uległem doży-
wotno tendencjom schematyz-
mu i wulgarnego socrealiz-
mu. Właśnie wtedy, gdy Ża-
lucki dźwigał swoje lary i
piernaty do Warszawy — zdo-
cydowano o dalszej rozbudo-
wie Huty im. Lenina. Już te-
raz liczy to miasteczko — a
raczej dzielnica Krakowa po-
nad 120 tysięcy mieszkańców.
W roku 1980 Kraków z Nową
Hutą liczył będzie 750 tysięcy
mieszkańców. W wiek XXI



wikrocy Kraków jako miasto
milionowe. Gotuje się więc
wielki zamach na drugą w
Polsce pozycję Łodzi — o
czym lojalnie, jako pański do-
brze opłacany korespondent
natychmiast donoszę.
Chciałem ostrzec, że Kra-
ków już dziś posiada po-
wierzchnię 230 km. kw., czyli
28 km. kw. więcej od Łodzi.
Wprawdzie rozwój w Kra-
kowie jest mniej, niż w Łodzi
(Łódź 13,9 na 10 tys. ludno-
ści, Kraków 8,2) — ale jest
nadzieja, że to się szybko wy-
równa. To znaczy Kraków
dorówna Łodzi. W ilości pry-
watnych abonentów telefo-
nicznych załatwiłmi Łódź
już dawno. Mamy ich o 2 ty-
siące więcej. Jeden sklep
przygrypa u nas na 153 mieszk-
kańców — w Łodzi na 169.
Zakładów gastronomicznych
mamy 173 — przy 123 w Ło-
dź. Łóżek w hotelach o 200
więcej niż Łódź. A więc ma-

my tendencje rozwojowe. Jako
człek bezstronny, bo rodzony
ani w Łodzi, ani w Krakowie
— wyniku tej rywalizacji nie
przesadzam. Łódź przestała
być ziemią obiecana, a Kra-
ków miastem emerytów. Kto
wie, czy właśnie Kraków nie
został ziemią obiecana?

Redaktorze mój łódzki, sam
Pan widział, jak rozpaczliwie
się miotam w poszukiwaniu
formuły uniwersalnej, która
by mogła Panu uświadomić ist-
otę i ducha miasta Krakowa
z Nową Huta. Na razie udało
mi się tylko udowodnić, że
Kraków nie jest Łodzią. To
też dobrze. Mam nadzieję
więc, że od opublikowania
mego felietonowego dzieła nikt
już nie będzie mylił tych
dwóch miast, nie będzie my-
lił, barmanek w klubach
dziennikarzy, Grand Hotel,
oraz innych detali. Nie będa
się mylić nawet aktorzy —
nimmo, że do Krakowa pono-
ma się od was wynieść Wy-
twórnia Filmów Oświatowych.
U nas wszyscy bardzo cennie-
my osiady kaganek za z
góry ustalona opłata — więc
Wytwórnie przyjął i umowy
podpisywać będą. A więc nie-
tylko Nowa Huta — ale i
Łódź ma się przychylić do
zmiany oblicza podwawelskie-
go grodu. Tylko czy to się
jej opłaci? Cóż bowiem w za-
mian za wytwórnię mogą
Wam ofiarować krakowianie?
Drabiny, która się sniła Ja-
kubowi, Niderlandy, Flumie.
Albo też kilku niesfornych
ludzi, którym się krakowskie
porządki nie bardzo podobają.
i po co Wam oni? Rozrabia-
czy nie lubią nawet w mie-
ście tak zacnym jak Łódź.

Ale ja, Redaktorze, dalej
w pogoni za formułą. W ga-
lopie. Daruję już panu czasy
królewskie, a przede do ce-
sarzsko — królewskich. Każdy
stary krakus chwali sobie
Kaisera Franz Jozefa, któ-
ry pisał cygara Wirginia
ze słomką, a także same mo-
żna było nabyć w centralnej
c. k. trafik „Verlag” na ro-
gu Jana i Ryńku. Co drugi
notabli miejski miał tytuł c. k.

fajnego radcy dworu — ch-
cież nikt go o radę nie pytał.
Dostawał tytuł — więc był
zadowolony i nie rozrabiał.
Franz Jozef miał świetne me-
tody. Może by u nas, Redak-
torze, wprowadzić tytuły faj-
nych radców?

Do dziś w Krakowie w sta-
rych rodzinach je się kaiserki
(buleczki, które jadł sam ce-
sarz) z naleśnym nabożeń-
stwem i ze łą w oku.
Po drugiej wojnie nastąpił
wśród krakowian mickiewi-
czowski podział pracy („Kup-
cie idź w miasto, ja do lasu
muszę”). Kupcy bili własne
psy, które nie chciały szcze-
kać entuzjastycznie: „Niech
żyje Mikołajczyk”, a ci z
lasu podostawali wyroki, albo
się ujawniali. Mój ty Boże, ja-
kie to zaszyły do dziś mela-
morfazy!!! Krakowski kółton,
z gatunku „płica polonica
cracoviensis” wyleciał i stracił
zębny. Działwa mu podro-
sla i znalazła pracę w Nowej
Hucie. W dodatku jeszcze
mieszkanie. Kółton z uwagi
na swoją progeniturę rzekł
się marzeń o wojnie i o zmia-
nie. Ale niestety swoje na Kra-
kowie i Nowej Hucie wywarł.

Wówczas, gdy lud wszedł
do śródmieścia — kółton sza-
łał. Potem drwił. Wreszcie
skapitulował. Zdołał jednak
zaszczepić swoje cechy no-
wym przybyszom: szczęśliwość,
„centusiowatą” i nieładną, pęd
do szybkiego bogacenia się.

Ale wracajmy do tej nie-
szczęsnej formuły. Wieceż
Ingardena na Placu Central-
nym, które się będą odbijać
w szlucznym jeziorze nie sta-
nowia żadnego pendan do
Wieży Mariackiej. A że po-
miedzy tymi dwoma objekta-
mi, niemal w połowie drogi
jest lotnisko — to też nie
świadczy o tym, że wszystko
budowano z sensem, bo po-
średku powinno być centrum
miasta. Chyba, że chodzilo
komuś, aby z lotniska było
jednak do Krakowa i Nowej
Huty. Ale tak nie było, bo
urbanisci mają swoje wielkie
plany i jeżeli ktoś powie, że
na krakowskim rynku siedzą

maszyny „LOT” — to mu
wierzyć. Bo to jest przyszły
rynek — dzisiejsze lotnisko.
Albo coś w rodzaju rynku,
bo przypuszczam, że jarmar-
ków się tam nie będzie urzą-
dzać. Najwyżej wyprzedaż
bubli, które dzisiaj produkują
nasz przemysł konfekcyjny.
Tego towaru starczy jeszcze
dla naszych wnuków.

Wracam właśnie ze spaceru,
byłem na Błoniach, pół
kilometra w linii prostej od
rynku, i jestem wściekły. Na
przeciwko Muzeum Narodo-
wego budują hotel „Orbis” z
kawiarnią, restauracją i kinem
panoramycznym. Naprze-
ciwko tych dwóch obiektów
stoi owa nieszcześliwa krowa,
pasąca się na Błoniach i ry-
czy. Bo Błonia są własnością
miejską, ale okoliczni mieszk-
kańcy mają jeszcze z czasów
Kazimierza Wielkiego przywi-
leż na wypas tamże. Nikt nie
ma podobno prawa uchylić
tego przywileju. Chyba Sejm,
albo Rada Państwa. Są plany
przebudowy i uporządkowa-
nia Błoni, urządzenia tu tere-
nów rekreacyjno-wypoczynko-
wych, wielkiego ogrodu za-
baw i kąpiel słonecznych po-
średku miasta. Tylko prze-
ładza temu obrzydliwa krowa
uprzywilejowana przez Kazi-
mierza Wielkiego. Głupia kro-
wa historii. Historii, która
zawsze tłumaczyła na opak.
Zwłaszcza w Krakowie.

Więc pozdrawiam Pana z
okazy 22 lipca, mój łódzki
redaktorze i życzę panu suk-
cesów w życiu prywatnym,
publicznym i wewnętrznym.
Poza tym niech pan nie wie-
rzy w te wszystkie między Ło-
dź i Krakowem. Trzeba
byłoby je rozegrać na jednej
drodze. Na drodze do War-
szawy. A przecież Wy jeste-
cie zawsze bliżej... O czym z
przykrością donoszę.

odgłosy str. 5



Tętnie



Jaś i Matgosia



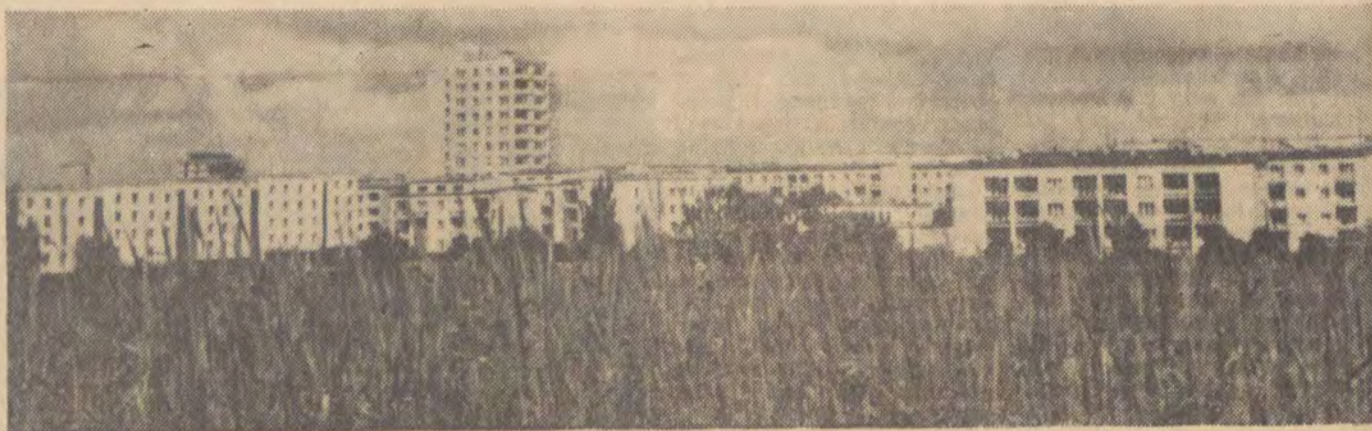
Na plaży



W parku zdrojowym

w Ciechocinku

str. 6 **odgłosu**



Osiedle im. W. Bytomskiej

Fot. E. Kudał

JERZY WALEŃCZYK

ARTUR GLISZCZYŃSKI — Beranger robotniczej Łodzi

Owszem, wiem skąd bierze się ten mój sentyment do Artura Gliszczczyńskiego, pierwszego, o ile wiem, łódzkiego poety. Może określenie: poeta, to dla pozycji Gliszczczyńskiego trochę za wiele. Oto leżą przede mną jego utwory. „Z mroku i dymu”. Warszawa, Skład Główny w księgarni Stefana Dembego, Marszałkowska 72, Rok 1901. Mój flirt z Arturem Gliszczczyńskim zaczął się przed kilku laty. Lubilem ten tomik sympatii nieuniknionej, jakkolwiek pozaartystycznej. Artur Gliszczczyński był dziennikarzem warszawskim, który zaaklimatyzował się w Łodzi, pokochał to miasto miłością gorzką i bolesną. Jego prace dziennie latającego reportera dają się łatwo odczytać z „Mroku i dymu”. Ale kiedy następowy konfrontację z rzeczywistością, Gliszczczyński jakby zapominał, że powinien być tylko, li tylko dziennikarzem, i stawał się poetą, publicystą. Te jego metamorfozy nie fascynują mnie. Jest mi to absolutnie obojętne.

Ale jedno mnie do tej książki ciągnie. Jej szacunek dla pewnych, dość istotnych zjawisk socjologicznych i psychologicznych związanych nierozdzielnie z ewolucją ekonomiki kapitalistycznej w Łodzi, na progu XX wieku. Jako dziennikarz, przywiązany do faktów, ceniący je dla ich przydatności, potrafił niektóre rzeczy dostrzec. Potrafił zrobić z tego obrazki miejskie posiadające cechy symptomatyczne dla kapitalizmu owych lat. Oczywiście, nie musiał, nie potrafił raczej, nadać im wyższej rangi artystycznej, nie potrafił wyciągnąć z nich bardziej generalnych wniosków.

Ale nie miejmy o to do niego pretensji, bo nie dzięki temu Gliszczczyński może nas zaabsorbować. Dziennikarz piszący po-

senki z zacięciem Berangera, dziennikarz wyczułony na gorkowski klimat slumsów, zamieszkałych przez złupowany proletariatus. Gliszczczyński zachował klimat początku XX wieku w Łodzi.

Robił to w cudzej maniere, nie miał zapewne czasu, zabiegany dziennikarz, aby pomyśleć o własnej. Przypuszczam, że i talentu nie miał. Ale to, co mnie ciągnie do tego klimatu, to, powiedzmy wprost, głębokie poczucie tragizmu egzystencji klasy robotniczej. Gliszczczyński był wyczułony na niektóre specyficzne, dramatyczne przejawy tej egzystencji.

Oczywiście, suchy badacz, śledząc te obrazki, powie: faktomontaż, maniera Konopnickiej, tak naiwna, że aż żenująca. Ale materia uratowała te obrazki od całkowitego zapomnienia. Oto uwaga dla niektórych młodych poetów łódzkich, posługujących się nie własnymi środkami i nie mających żadnych danych, aby je osiągnąć: o poecie rozstrzyga walor autentyczny obrazu.

Ale to dygresja.

Nie tylko Konopnicka. Będa i poeci rosyjscy, jak Nikitin ze swoją wstrząsającą obsesją nędzy, ze swoim łopoczącym sercem dla nędzarzy, żebraków, odpadków miejskich zaplajających się w obskurnych knajpach, dla starych spracowanych robotników, dla starych kobiet bez przytulku, bez ciepłego kąta.

Jest w Gliszczczyńskim wiele ładunku postromantycznego, sentymentalizmu zbyt tkliwego, jak na nasze odczucie.

Jest i klimat Andersena, w scenerii fantastycznej, zgrzytającej prawdą owych lat. Jest w Gliszczczyńskim trochę Dickensa z jego wrażliwością na nieludzkie zatrudnianie nieletnich dzieci w fabrykach i druzgocące eugeniczne następstwa tego stanu rzeczy. Można w tych wierszach spotkać lekturę Mickiewicza, oczywiście naskórkową, werbalnie, nawet

niewerbalnie adoptowaną, rozumianą tak, jak ją rozumie li niektórzy poeci romantyzmu Królestwa Kongresowego. Oczywiście, mnóstwo tu słabizny, ale powtarzam, nie o to chodzi.

I nie o reminiscencję z Sienkiewicza nowel, z „Orso Sachem”.

Jest tu bowiem znajomość miejskiej tonacji, rytmu, manifestująca się czasem bardzo ostro.

Oto — mniej więcej orbita impulsów kulturotwórczych, w których poruszał się nasz łódzki poetyzujący dziennikarz. Winniśmy przy rozpatrywaniu tego zjawiska być zaopatrzeni chociażby w najbardziej ewidentne narzędzia badawcze socjologa-historyka. Nie moja to dziedzina. Ten aspekt Gliszczczyńskiego jest dość istotny.

Gliszczczyński sygnalizuje problematykę: artysta łódzki i kapitalizm. Degrengolada moralna i fizyczna proletariatus, demoralizacja dzieci robotniczych, problem opieki nad nimi pod nieobecność obojga rodziców w domu. Widmo bezrobocia. Inwazja chłopów do miasta. Problem stosunku robotnika do maszyn w nowym kontekście psychologicznym. Okoliczności rodzenia się prostytucji wśród robotnic. Problem konkurencji wśród drobnych sklepikarzy, zagadnienie ciulania grosza na czarną godzinę, kryzys, bankructwo drobnych fabryczek wobec coraz to gwałtowniejszej ekspansji wielkiego przemysłu, fluktuacja, brak stabilności ekonomiki kapitalistycznej, krachy, itd.

Oczywiście, nie tu miejsce, aby się tym wszystkim zajmować. Gliszczczyński widział drugą stronę medalu ekonomii: etykę. Stąd sporo tu akcentów obyczajowych, obrazków wstrząsających degrengolady, z groteskowymi jak na dzisiejsze kryteria samobójstwami za pomocą — esencji octowej. Oczywiście, dalszego ciągu tych spraw należałoby szukać w późniejszych rozporządzeniach władz, policmajstrów, w pro-

teście wyrażającym się w strajkach.

Gliszczczyński może być też przydatny dla zrozumienia niektórych zjawisk: na przykład folkloru robotniczego.

Kiedys oglądałem wystawiany w łódzkim „Pstragu” spektakl pt. „Siódme nie flaktruj”. Uderzające było jedno: brak współczesnego folkloru robotniczego. Gliszczczyński lubił ten folklor.

Czy dzisiaj taki folklor powstaje w fabrykach czy nie, czy istnieją jakieś amblacje tego typu, to inna sprawa.

Ale Artur Gliszczczyński traktowany jako punkt wyjścia do rozważań tego typu mógłby być ponocny. Potrafił uchwycić pewne prawidłowości, ten dziennikarz współczujący doli klasy robotniczej, układacz wierszy. Współczujący, więc osamotniony.

Myszką tracący słownik, wyrazy, które dawno potoczyły się już w ciemność, ekwiwalenty zjawisk społecznych — to niebagatelna gratka dla zainteresowanego. Na przykład weksel:

Ot, i jego z drogi starej
Przed pół rokiem porwał
prąd...
Spekulantom swe towary
Dał na kredyt... wielki
błąd!...
Wzięte weksle puścił
dalej...

A oto co pisze na temat weksla absolutnie dziś zapomniany historyk:

„Ubranie kupowano na weksel, komorne płacono wekslami, nie mówią o tym, że cały handel szedł wyłącznie wekslami, czasem po roku dopiero płatnymi.

W terminie płatności za weksel przynoszono nowy weksel, wypłacano procent. Gotówka była rzadkością. Bankierzy i dyskonterzy robili świetne interesy na inkasowaniu tych papierów, bo one do nich wpłynąć musiały, gdy trzeba było gotówką wypłacić robotników”.

Ale co my dzisiaj o tych sprawach wiemy?



Pod grzybem



Rys. IBIS-GRATKOWSKI



„Stara” ulica Piłtrowska

Fot. E. Kuda

zał się w Gdańsku Społeczny Komitet do spraw rozwoju telewizji. Na jego czele stanął wiceprzewodniczący Woj. Rady Narodowej, Leonard Lazarewicz. Współdziałając z takimi potęgami lokalnymi jak Marynarka Wojenna, Morska Obsługa Radiowa, Zespół Radiostacji Gdańsk i wieloma pomniejszymi fundatorami środków, Komitet zdołał wyprzedzić plan państwowy o całą pięć lat.

W końcu 1958 roku funkcjonował już nadajnik gdański skonstruowany w oparciu o aparaturę wykukaną w stolicy, a przeznaczoną pierwotnie dla celów dydaktyczno-doswiadczałnych Politechniki Warszawskiej. Wkrótce potem gotowa była trasa łącz Gdańsk—Warszawa, na którą wykorzystano kilka powehrmachtowskich wież-masztów. 10 lutego 1959 r. popłynęła ta trasa pierwsza retransmisja programu ogólnopolskiego. W tym czasie gdańscy hobbyści telewizji, dziennikarze i artyści robili program. Lokalny oczywiście, za darmo, i w studio załmrowizowanym w byłym lokalu byłej loży masonskiej. Społeczny Komitet załatwiwszy nadajnik i łącz, zlecił opracowanie dokumentacji autentycznego studia. Obecnie kontynuując swą działalność, gromadzi środki na wóz transmisyjny (który tylko patrzeć, jak zaczyna penetrować Wębrze) i myśli o telewizji wsi kaszubskiej.

Na przełomie maja i czerwca 1959 r. nastąpił akt adaptacji. Odcowie z Warszawy, przysposabiając dziecię, zgodzili się świadczyć nań rente alimentacyjną: ogółem etatów osiem (w tym realizatorskie, administracyjne i programowe).

Do tego miejsca biografia gdańskiego ośrodka podobna jest do losów pozostałego telewizyjnego rodzeństwa. Cechy szczególne zaczynają się w związku z tym, że Gdańsk tworząc telewizję dla siebie, tworzył ją równocześnie dla kraju. Rzecz w tym, że trasa łącz do Warszawy pomyślana była jako magistrala międzynarodowa. Oddana ostatnio całkowicie do użytku Telewizyjna Stacja Przekaznikowa w Milejewie k/Elbląga, kontaktująca z radziecką stacją Piatidorożna umożliwia via Kaliningrad połączenie z Moskwą. Czyli

szawa jest najnowocześniejsza w kraju. Przy udziale Ministerstwa Łączności wyposażono ją w doskonałą aparaturę TRT, jednokierunkową wprawdzie, ale szybkołączącą, dająca się przełączać na kierunek przeciwny, w ciągu 6—7 sekund. Zasluga samego Społecznego Komitetu jest inne, nowoczesne wyposażenie. U podnóża każdego masztu dźwigającego paraboliczne anteny wybudowano piękny domek, miejsce pracy i mieszkania personelu technicznego. Od warunków bezpieczeństwa i higieny pracy poczynawszy na umeblowaniu kawalerskich (niestety) pokoi skończywszy — wszystko tu jest według najnowszych wzorów. Ow komfort znakomicie harmonizujący z ładem urządzeń technicznych jest i zrozumiały i celowy: stanowi rekompensatę za swego rodzaju pustelniczość osiadłych tu i badających w ustawicznym pogotowiu techników i inżynierów. Są oni w zasięgu szczególnie dobrego „sygnału”. W Gdańsku mówi się o nich na romantyczną nutę: „latarnicy XX wieku”. Niezależnie od stopnia celności tej metafory, są to rzeczywiście ludzie XX wieku. Dobrobyt owszem, ale na pierwszym planie fascynacja swoją specjalnością. Młodzieńcy kierownik T.S.P. w Milejewie mgr inż. Józef Kosiński, wychowanek Politechniki Gdańskiej, załedwie napomyka o nowo nabytym skuterze, ale za to rozkłada szeroko o nowych stacyjnych urządzeniach radioliniowych typu „Wiosna” do połączeń z Moskwą, z którymi zapozna się wkrótce w Związku Radzieckim i które w przyszłości dla polepszenia odbioru zamontuje „u siebie”. Objaśniając rzeczowo swoje gospodarstwo inż. Kosiński mówi o nim nie tylko z przyziemnego punktu widzenia codziennego obsługi, tzn. eksploatacji i konserwacji, ale jako laboratorium do zglębiania sekretów XI Muzy. Marza mu się niepojęte dla zakutego humanisty nowe „układy” „Taaaka kadra”, pochodzący z łowów marmurów Leszka Ekierta, szefa gdańskich techników i inżynierów TV, to oczywiście dodatkowe przymiotniki na świadectwie zarówno urodzenia jak i postępów Gdańskiego Ośrodka.

No, a program? Robi go



szawie po to, by w końcu zaakceptować bez większych zmian w pierwotnym kształcie. Niebawem zacznie się ją realizować, jako że zapobiegliwy Społeczny Komitet ma fundusze. Za pół roku powinniśmy oglądać gdańskie programy z prawdziwego studia.

Powinniśmy, ale czy będziemy oglądać? Jak dotąd Gdańsk wchodzi na antenę ogólnopolską 1 do 2 razy w miesiącu. Poza tym od „wielkiego dzwonu” w rodzaju „Dni morza” czy festiwalu piosenki (i to siłami stołecznymi). Interesujący magazyn morski pt. „Bryza” nie może się na nią przejechać. Programowcy gdańscy powiadają: „Telewizja nie lubi słonej wody”. A tyle jest do pokazania krajowi! Budowa okrętów, ruch w portach, rybołówstwo, dorobek gdańskich naukowców (prof. Cebertowicz, ten od wieży w Pizie, wodoloty prof. Kobylińskiego, energetycy i elektronicy prof. prof. Korcecki i Niewiadomski), nie mówiąc o żywotnym środowisku artystycznym (cyrk Afanasiewa, teatrzyki studenckie, plastycy. Teatr Gdański znany w Paryżu i Brukseli, a w kraju tylko z powodu toruńskiego festiwalu, sławny Balet Opery Bałtyckiej). Wszystko to pięknie telegeniczne, a w części morskiej diablo romantyczne.

Poziom lokalnych programów takich jak „Gawędy gdańskie” (prowadzący red. Edgar Milewski, urodzony gdańszczanin i gawędziarz; autor anegdotycznego „Antykwariatu gdańskiego”) czy „Teletygodnik” dowodzi, że talentów telewizyjnych na Wybrzeżu nie brakuje Brakuje za to dla Gdańska stałych tzw. okienek w programie ogólnopolskim, a kto wie, że jego struktura jest właśnie „okienkowa”, rozumie, że nie o słoną wodę wcale idzie. Teoretycznie Gdańsk jak i inne ośrodki ma nieograniczone możliwości, wchodzenia na ogólnopolską antenę. Wymaga się tylko odeń bagatelki: składowania pełnych scenariuszy na... trzy miesiące naprzód. Gdyby to nawet było możliwe bez urągania aktualności, to i tak nie ma żadnych gwarancji, że program „nie spadnie”, a pójdzie. No bo w telewizji polskiej zdają się być wkrzeszane bizantyskie zgola obyczaje. Jak wiadomo, terenowe ośrodki telewizyjne mają nie zawsze redaktorów, ale zawsze naczelnych redaktorów. Naczelni są między innymi od tego, żeby kierując się znajomością lokalnych rzeczy, zatwierdzać scenariusze. Do programu ogólnopolskiego również. I owszem, zatwierdzają. Tylko, że moc ich zatwierdzeń kończy się poza granicami województwa. Gdy byż to tylko odpowiedni bar-dziej naczelny miał prawo te zatwierdzenia... podważać. Praktycznie każdy dziennikarz byle warszawskiej redakcji ingeruje w przyjęte scenariusze. Nie tylko zresztą dziennikarze ale i realizator. Programowcy gdańscy określają to i cały stan rzeczy łagodną formułą „Telewizja Warszawska boi się „słonej wody”. Ale tacy oni już są łagodni, skromni, cierpliwi, owi latarnicy XX wieku. I robią swoje. Bez zahamowań, bez kompleksu niższości, mając wszelkie obiektywne dane do poczucia niemałej wyższości.

Terenowe ośrodki telewizyjne przypominają po trosze nieślubne dzieci, a w każdym razie poczęte w związku, w którym dwoje nie chciało na raz. On — PLAN PAŃSTWOWY przewidywał mariaż z terenu i liczne potomstwo różnie, a po latach dorabiania się i stabilizacji ONA — INICJATYWA SPOŁECZNA — chciała zaraz. Zbliżenie między obu tymi partnerami nastąpiło w aurze żywiołowego flirtu Polaków z XI Muzą, a ponieważ flirt rychło przelotczył się w namietność, ONA namawiała go wciąż do grzechu a ON chwilami tracił głowę. W ten sposób ONA, mająca w swoim charakterze zasadę „jakoś to będzie”, powiła MU przed czasem zastęp pociech, które ON chcąc nie chcąc musiał adoptować. Z tego wynikały wszystkie wiadome konsekwencje: kwas, kompleksy, zaniedbania i niekochania, rodzinne nieporozumienia i kłótnie nie wyłączając ich

odgłosów na łamach „Od-głosów”.

Jak wiadomo, potomki z nieprawego łoża miewają niełatwe życie, ale nie muszą być z gruntu rachityczne i upośledzone. Przykład Gdańskiego Ośrodka Telewizyjnego zdaje się świadczyć, iż może być wprost przeciwnie.

Zanim przykład ów ewidentnie przedstawię, parę słów precyzacji pojęciowej. W dotychczasowych naszych eksplatacjach przez „terenowy ośrodek telewizyjny” rozumiemy raczej i głównie działalność programową. Nieśluszenie, jako że TOT, to w pierwszym rzędzie węzeł techniczny: aparatura odbiorczo-nadawcza, studyjna plus ewentualnie transmisyjna (wóz) a także system stacji przekazywających, łączących dany teren z resztą kraju, a nawet innymi krajami.

Otóż ON, czyli plan państwowy, obiecywał uruchomienie Gdańskiego Ośrodka Telewizyjnego w pełnym tej

ANDRZEJ IZERSKI

LATARNICY XX WIEKU

nazwy znaczeniu dopiero gdzieś około roku 1964. ONA, czyli inicjatywa społeczna, chciała wcześniej. Chciała i postawiła na swoim. 10 maja 1956 roku zawią-

nie owijając w bawełnę — inicjatywie społecznej Gdańska zawiadczamy możliwość uczestniczenia w systemie Interwizji.

Trasa łącz Gdańsk—War-

się wciąż w prymitywnym studio. Wspomniana dokumentacja nowego studia gotowa jest już od półtora roku. Przez cały ten czas wybrzydzano nad nią w War-



Nowe „wejście” do miasta

Fot. E. Kuda

LISTY Z BLISKICH PODROZY

Pisze do Was o jednym z tych, o których chętnie milczymy — o byłym przyjacielu. Mój były przyjaciel jest kierownikiem szkoły. Kierował już szkołą w Rawie Mazowieckiej, w Kuluszkach, w Tomaszowie M. „To dobry kierownik” — mówili o nim rodzice i mówią tak do dnia dzisiejszego. W każdej szkole kierownik troszczył się o nieskazitelny polysk i czystość podłogi. Kroczył od szkoły do szkoły po gościach, złośliwych, doskonałych posadzek. Przed gmachami szkół zasadzał na wypielegnowanych klombach kwiaty odpowiednio piękne i właściwie pachnące — nawet trawa porastająca niedużą przypisaną jej przestrzeń, rosła pod jego oknem zielenią i wyższą niż trawa przy innych szkołach. Upodobał sobie agawy — zasadzał całe ich szeregi na klombach, piastował je w malowanych srebrną farbą donicach. Każdego dnia spacerował wokół szkoły, osobiście wachował kwiaty, radował się zielenią trawy, nachylał się nad każdą agawą i lekko dotykał palcami kółców sterczących z ciężkich, wygiętych liści. Po obchodzie wracał do szkoły — siedział przez świetliste podłogi do odnowionych izb, do słońca załamane w umyśle szybach. „Pamiętajcie” — mówił do dzieci i do nauczycieli żegnając szkołę — „pamiętajcie troszczyć się o czystość szkoły, w której spędzacie niemalą część waszego życia. Pamiętajcie o pielęgnowaniu kwiatów, o nie deptaniu trawy, o zachowaniu czystości podłóg — pamiętajcie o agawach, o nieodlamywaniu kółców, o niegnięciu liści...”

Tak żegnał kierownik szkołę i przenosił się do innej, a wszędzie tam, gdzie się osiedlał, w Rawie, w Kuluszkach czy w Tomaszowie, pojawiali się przed szkołami klomby pachnących kwiatów, zieleniasty spowiadane agawy, przegladali się uczniowie w ulustrzonej tafli podłóg... — „Witam was serdecznie” — mówił nowy kierownik do nauczycieli swojej nowej szkoły. „Będziemy tutaj wspólnie wychowywali nowych ludzi, ludzi w których życiu piękno stanie się koniecznością. Nie widzę tutaj kwiatów — zasadźcie je więc przed szkołą. Pamiętajcie, proszę

przestrzegać uczniów przed deptaniem trawy. Agawy umieszcimy w donicach — aby nikt nie potamał ich liści. Nigdy, nigdy, moi drodzy nie znoście ucznia, chodzącego po podłodze w butach. Każdy uczeń musi chodzić w gimnastycznych pantoflach.

Odwiedzałem kierownika w każdej z jego szkół — stałem przed jego uczniami z paczką testów w ręku. Stałem się poznać ich inteligencję, skłonności, pamięć przy pomocy metod przez jednych chwalonych i przez innych wyśmiewanych. Rozmawiałem z nimi i wiele mi powiedzieli ich słowa, a o wiele więcej ich uparte milczenie. Mój przyjaciel — kierownik, spacerował ze mną po przyszkolnym ogrodzie, trzymając mnie w czasie spacerów za łokieć, co było widoczną oznaką przyjaźni i zachęcał do wytrwałości w mych poczynaniach. Powtarzał, że wychowujemy nowego człowieka, że powinniśmy wszechstronnie poznawać ucznia. Wydział mi w szkole nieduży pokój, w którym pracowałem nad poznaniem uczniów. Badani szli do mnie w pantoflach po polyskującej podłodze korytarza, stali w pantoflach czyści i niezdolni do deptania trawy, do łamania liści agawy.

— „Powiedz mi” — pytałem ucznia — co to jest agawa? — „Agawa to taki duży kaktus. — Nie wolno łamać jej kółców, bo to niekulturalnie. Kiedy agawa ma już sto lat wtedy zakwita z bardzo głośnym trzaskiem. A po zakwitnięciu agawa gnije”.

— „Pantofle” — wrzasnął ktoś za drzwiami naszego pokoju — „Gdzie są twoje pantofle? Ściągaj buty, natychmiast ściągaj buty”.

Kierownik wprowadził do pokoju bosoego chłopca. Chłopiec trzymał przed sobą w wyciągniętej ręce buty. Jego boso nogi lgnęły do lustrzanej podłogi. Zwróciłem uwagę na precyzyjne przyleganie wielkich palców do grup mniejszych palców, świadectwo długotrwałego rozwoju gatunku homo sapiens. Była to ostatnia moja wizyta w szkole kierownika. Wracałem do Łodzi wieczornym pociągami, zmęczony, samotny w ciemnym przedziale. Położyłem się na ławce. Widziałem tylko szczyty mijanych dworców, roziskrzone dachy, kuliste latarnie, dworcowe okna. Kolejarzy i podróżni byli niżej, w innym, niedostępnym mi wymiarze. Przypomniałem sobie kierownika błędzącego wśród kwiatów, kierownika pochylonego nad kółkami agawy. Przypomniałem sobie zuchwałego ucznia, najpierw obutego, a potem boso, z butami w ręku — przypomniałem sobie, że ja w czasie każdej bytności w szkole chodziłem po podłogach kierownika obuty, — no, ale ja przecież byłem jego przyjacielem...

Wpadł mi w ręce numer „Żyła Warszawa” z felietonem pod pseudonimem Ardens. Autor, nawiązując do głosów prasy dotyczących języka młodzieży studiującej, stwierdza, że „ostatnio istotnie źle się z nim dzieje. Jakże mały, naprawdę bardzo mały jest procent młodzieży umiejacej poprawnie pisać po polsku. Błędy ortograficzne, nieznanie składni, nieumiejętność posługiwania się czystopolskimi wyrazami są wprost zaskakujące. Trzeba się zastanowić nad przyczynami i pomyśleć o ich usunięciu, inaczej rzeczywiste naszej mowie grozi zniekształcenie”.

Jednakże samo „zastanawianie się” nad przyczynami i „myślenie” o ich usunięciu nie zaradzi złemu. Tu potrzebny jest

MARIA NALEPIŃSKA

W obronie języka

zbiorowy i nieustający wysiłek. Przykład takiego wysiłku daje nam niezmordowany mgr Jan Makarski, nauczyciel liceum ogólnokształcącego w Wolsztynie.

Mgr Makarski, matematyk, jest podobnie jak Jan Śniadecki zapaśnikiem i czołowym językiem. Przeprowadził w swej szkole eksperyment, polegający na wdrażaniu uczniów do posługiwania się słownikami. Eksperyment dowiódł, że taka praca jest możliwa nawet w klasie I-IV.

Dażeniem szkoły w Wolsztynie jest, aby dzieci wyrobiły sobie pod tym względem odpowiednie przyzwyczajenia, te bowiem przechodzą z czasem w szlachetny nałóg. „Przy tej pracy — pisze Makarski — zwraca się uwagę, ażeby zrozumienie danego słowa przez dzieci było dokładne, nie wolno bowiem szkole dopuścić do werbalizmu”.

Uczniowie, wzorując się na dorosłych, na ogół obojętnie odnoszą się do spraw języka. Najważniejszą rzeczą jest to, aby te obojętne przetłamać. I matematykowi Makarskiemu znakomicie się to powiedziało! Uczniowie założyli Koło Miłośników Języka Polskiego. Młodzi miłośnicy języka badali język napisów i ogłoszeń w Wolsztynie, wyszukiwali w nich błędy, po czym zwracali się ze spisem tych błędów do właściwych instytucji uprzedzonych o tym przez mgra M. Ta praca radykalnie zmieniła stosunek uczniów do poprawności języka z biernego na czynny. Byli pierwsi, którzy walczyli o jego poprawność przeniesli poza szkołę. Po tem zwrócili się do szkół wszystkich stopni i wszystkich typów z wezwaniem, aby podjęły pracę w swych powiatkach. W odezwie piszą: „Naszym dażeniem jest to, aby każda szkoła tworzyła ognisko pracy dla wspólnego dobra, a sieć tych ognisk niech obejmie cały kraj. Będziemy się starać o to, aby nie było błędów językowych w naszym powiecie”.

Sposoby, których się chwyciła od dłuższego czasu Jan Makarski w swym eksperymencie wolsztynskim, są różnorodne, a tak pomyślane, że mogą porwać młodzież. Trudno tu je omawiać. Pismo o nich w „Głosie Nauczycielskim”, pisało kilka czasopism.

W pracy nad podnoszeniem poziomu dzisiejszej polszczyzny nasz matematyk nie poprzestaje na samej szkole. Chce dotrzeć do źródła błędów, a za takie uważa podręczniki szkolne. „Poprawienie języka podręczników jest warunkiem koniecznym poprawy języka ogólnopolskiego”. Dlatego zbadał nie tylko terminologię matematyczną, ale i język podręczników matematyki; wreszcie spowodował, że Ośrodek Metodyczny w Poznaniu uchwalił rezolucję, w której czytamy:

„W związku z przygotowaniem reformy szkolnej i opracowaniem nowych podręczników matematyki uważamy za sprawę pierwszoplanową korektę wszystkich podręczników pod względem języka

(terminologia, ścisłość zwrotów, poprawność języka). W obecnych podręcznikach dostrzegamy błędy językowe, bo podręczniki przed ich zatwierdzeniem nie są oceniane przez językoznawców; tymczasem autor podręcznika nie zawsze posiada odpowiednie wykształcenie językoznawcze. Błędy językowe w podręcznikach utrudniają proces nauczania, pozostawiając w podświadomości ucznia i uniemożliwiając przyjmowanie form poprawnych. W najbliższym czasie powinny być podjęte prace nad rewizją terminologii matematycznej, nad wydaniem słownika matematycznego i frazeologicznego słownika matematycznego”.

Rezolucję przesłało Ministerstwu, a mgr Makarski zapisał w jej odbitkę wszystkie kurtoria. W Łodzi znalazł się ktoś dobrej woli, co zagrzany przykładem bojownika wolsztynskiego rozpatrzył język podręczników geografii. I oto mało znane miasto powiatowe, co może się wykazać tylko wytwórną meblą i ozdób na choinkę, pobudziło do działania stołecznego przemysłu. Kuratorium bowiem, doceniając niezwykłą wagę zagadnienia, przesłało ten materiał Departamentowi Podręczników Szkolnych Ministerstwa.

Oto przykłady zdumiewającej energii i wytrwałości tędnosci: a przede wszystkim przywiązania do języka. Jednocześnie z działaniem przez Min. Oświaty porusza wszystkie źródła, skąd płynie ta mowa. Domaga się, aby w prasie, radiu i telewizji, obok stałych katechów językowych o szerszym niż obecnie zakresie i większej rozmaitości były kwadransy pięknej polszczyzny i nieustający kurs nauki o języku polskim. Powinny też być lekcje polskiego, jak są lekcje jez. obcych. Nauka o języku na żadnym szczeblu nauczania nie powinna stać w ciemni nauki o literaturze. A tymczasem błędy szerzą nawet pisma urzędowe, ogłoszenia w miejscach publicznych, księgi szkolne i dzienniki lekcyjne.

Drugim przykładem organizatora zbiorowego wysiłku w obronie polszczyzny jest Zdzisław Czajkowski z Sopotu.

Nie działa tak tyfłowo jak mgr Makarski, lecz jest równie wytrwały. Za jego sprawą i opierając się na jego memorale, zesłane do Ministerstwa, Towarzystwo Miłośników Języka uchwaliło odezwę do członków Towarzystwa i czytelników „Języka Polskiego”, aby w zasięgu swej działalności użyli wszelkich dostępnych środków do walki o dobro języka polskiego. Sprawca odezwę działa w Trómiście, głównie w Sonocie. Obecnie pragnie doprowadzić do założenia w Gdańsku poradni poprawnej polszczyzny.

Praca tych ludzi: co nie tylko bija na alarm, nie tylko się zastanawia, nad przyczynami zła, ale i myśla o jego usunięciu, winna chyba cieszyć się wielkimi zainteresowaniem społeczeństwa.

WACŁAW MROZOWSKI

MÓJ DOM

Tu był mój dom. Pochylił i niski, gontem pokryty i zarosły mechem, a tu biegł od starej kołyski pachnące pięcioletnim snem.

Nie pozostało żadnych śladów po tym, co przypomnia grozę tamtych lat, i kiedy wracam tu myślą z powrotem, to jak bym głowę na kolana kładł.

I łączę razem smutek przemijania z prawdą okrutną w tym, co dzieje i wiem: zaciska węzeł na mej krani młodość popruta szrapnelem.

I choć nie wierzę w wyrównanie strat teraz, gdy głowa coraz niżej, żyję złudzeniem, że dzieciństwa świat choć w snach się do mnie zbliży.



Siedzę w akwarium. Wokół ryby podobne do mnie. Jakis sum wąsami bije w tafle szyby, a za szkłem ludzie. Pewnie wiosna, bo kwitną wiśnie, jak okostych włosy rozwiały się królowie i — metafora ta się cisnie są jak w akwarium wodorosty.

Dziwnie jest patrzeć poprzez szkło na sarny w parku, na krokusy swym rybnym okiem. Ale to skrzywiona wyobraźnia duszy tak deformuje rzeczywistość że widzę kukły zamiast ludzi, zamiast królowej brzoze zwisa, a sarny chodzą tak jak budzik.

Może to maj już, może czerwiec — zielona woda, świat zielony, tę zielen granat tylko zerwie ręką człowieka rzucony.

Więc siedzę dalej. Już nie ryby, lecz ludzie wokół. Wody nie ma, zieleni nie ma. Czapa siwa kotuje nad akwariem, w którym dramat poety się rozgrywa.

1944

1960



ARYSTARCH

DLACZEGO CHODZIMY DO KINA?

Prawidłowy tytuł tego felietonu powinien właściwie brzmieć: „Czego chcemy od kina?” lub „Co decyduje o wyborze przez nas filmu?” Oczywiście, odrzucamy te grube widzów, którzy chodzą do kina bez wyboru, na wszystko, w poszukiwaniu byle jakiej rozrywki, po prostu „żeby zabić czas”, jak się to mówi, i przeważnie — za owczym pędem lub „pocztą pantoflową”, szeptań między bardziej świadomymi spraw IX Muzy. Większość spośród tej grupy podejmuje decyzję wyboru również ze względu na atrakcyjną „gwiazdę” lub słynnego „gwiazdora” kreującego główną rolę. Według obliczeń statystycznych we Francji (cytuję za tygodnikiem „Arts”), stanowią oni

ważny odłam, bo aż 62 procent byłowców kinowych. Pozostają zatem nieliczni, w przybliżeniu około 38 procent, którzy kierują się wyższymi kryteriami świadomego lub na wpół świadomego wyboru. Wśród tych decyzje często ocena krytyczna w prasie lub w radio. Jeszcze bardziej wymagający i tacy, którzy posiadają jak zwane „znajomości” w świecie IX Muzy zasięgają przed pójściem do kina opinii znawców, recenzentów, krytyków, reżyserów, aktorów, autorów, scenarzystów itp. Pod tym względem polskie doświadczenia w zakresie tworzenia opinii o nowych filmach, wchodzących na ekrany, potwierdzałyby to, co obserwujemy się w dużych miastach Europy. Każdy, kto miał możliwość współpracy z jakimkolwiek zespołem redakcyjnym pisma codziennego, tygodnika czy radia, zauważył z jakim zainteresowaniem członkowie zespołu i przygo-

konstatacji wypytują o zdanie stałych recenzentów działu filmowego jako osoby wtajemniczone”. Po co to robimy, czego oczekujemy i żądamy, i co nam dają za nasze osiem czy dwanaście złotych ruchome „czarno-białe” lub kolorowe obrazy na ekranie? Gusto, upodobania i potrzeby pod tym względem są, oczywiście, jak najbardziej różnorodne. Dają się jednak zauważyć dość charakterystyczne proporcje. A więc, jak wynika z badań znanego socjologa francuskiego Joffre’a Dumazadiera, około 13 procent uczęszczających do kina szuka swoistego „wysobobienia” od kłopotów życiowych, od monotoni codziennych zajęć, od udręki domowych obowiązków. Nie ma to, nie wspólnego z arystotelesowskim katharsis, w którym uczucie zgrozy, strachu, lęku przy oglądaniu wzniosłych scen tragedii powoduje psychiczne „oczyszczanie się” w dłu zmuszonego do przeżywa

nia emocji, kreowanych przez dramaturga i aktorów. Jest to rodzaj „ucieczki” od przykrej rzeczywistości, dokuczliwej tęsknoty lub utyskającej żony w świat filmowej magii, która nam proponuje urzekające obrazy „innego życia” na srebrnym ekranie. Dalsze 23 procent widzów szuka zwykłej rozrywki, miłego spędzenia czasu i uchu w oglądaniu obrazu, dużo rihu czyli akcji. Dlatego tak podobają się „Wojna i pokój”. Dlatego zapewne, i nie tylko ze względu na momenty sensacji ale raczej ze względu na ruch i ciągłe zmiany w akcji, cieszyła się w Telewizji niebywałym powodzeniem seria pokazów słynnego „Znaku Zorro”. Jeżeli w filmie nie ma ruchu i akcji, zasypiam”, wyznał otwarcie jeden z uczestników ankiety, przeprowadzonej przez Joffre’a Dumazadiera.

Największą ilościowo grupą, bo aż 40 proc., szuka przyjemności w przybytkach

IX Muzy w oglądaniu sytuacji zmyślonych, w tym, co odpowiada mniej więcej pojęciu fikcji powieściowej. Wchodzi tu chyba w grę element przeżyć zastępczych, szukamy i przeżywamy te emocje, które chcielibyśmy przeżyć osobiście w rzeczywistości, a których nam ono odmówiło.

Dalsze rezultaty badań ankietowych wykazują przewagę upodobań w filmach wesołych nad upodobaniami w filmach poważnych. Stosunek ten wyraża się cyfrowo jak pięć do jednego, przy czym Fernandel bije o pięć długości nie tylko Gabina, ale nawet Brigitte Bardot. Wynikałoby z tego, że zapotrzebowanie na humor jest większe niż na streap-tease, który, nawiasem mówiąc, okazał się przemiałując jak każda morda. „Nie chodzę na smutne filmy. Życie jest dostatecznie smutne” — te banalne prawdy wypowiedział jakiś zgorzkniały Francuz, który jednak nie jest wyjątkiem, gdyż podobnych wypowiedzi posypało się więcej: „Oczekuję od filmu śmiechu, do którego życie nie daje mi okazji”. „Czuje predylekcję do śmiechu, który w życiu codziennym jest rzadkością”. Tutaj jednak uderza różnica gustów szóstki publiczności, a

znawców i intelektualistów, którzy w tym gatunku szliski filmowej najwyższej stawiają Chaplina, nie zawsze żożnienego przez ogół widzów, zachwycających się raczej Fernandem.

Dalej warto zanotować, że publiczność kinowa w ogromnej większości nie lubi filmów o sytuacjach zbyt konwencjonalnych ani zbyt wyszukanych (a zatem — jakiś „złoty środek”?), że 18 proc. odpowiedzi na ankietę żąda od filmu „prawdy życiowej”, zaś aż 65 proc. domaga się filmów historycznych. Ta ostatnia odpowiedź tłumaczy fenomenalne powodzenie „Krzyżaków” Forda w kraju i za granicą.

Plan badań jest więc interesujący i bogaty. A może by równie ciekawa ankietę spróbować zorganizować u nas?





7
Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny” przeżyły najgorsze chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wróciła do matki. Zatrzymała się u siostry Marioli, Ireny. Przyjaciółki trafiły właśnie na ślub Ireny. Nie którzy goście weselni, zwała siostra kolega pana młodszego Tosiek, zachowywali się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie czekały już końca wesela i pojechały na Chojny, do ciotki. Tymczasem Tosiek nie daje spokoju dziewczętom. Zaproponował spotkanie w Grądzie.
Niestety, i ta randka nie przynosi naszym bohaterkom zadowolenia. Dziewczeta składają wizytę Geografowi, który nakłania Magdę do kontynuowania nauki. Magda „wpada w oko” Kostkowi, synowi Geografowi. Następnego dnia Kostek odwiedza Magdę. Na scenie zjawia się także Narcyz. Mariola tymczasem nie ustaje w poszukiwaniu pracy.

Na ulicy stał listonosz i trzymał w ręku list. Musiał mieć bardzo głupią minę, bo listonosz zaczął się śmiać. Najgorsze, że to był młody chłopak i chciał koniecznie uciąć ze mną dłuższą gadkę. A ja na to nie miałam wcale ochoty. Przed oczami stał mi jeszcze ten Szczur z jednym zębem w gębce. „Widziałem, jak pani spała na tej ławce — powiedział — przyglądałem się chyba z pięć minut. Cudownie pani wyglądała. Pani ma na imię Magda?”. Poczterwieniłam i odparłam: „Przypuśćmy, że tak”. „Jest tu list do pani”. Pokazał mi ten list, ale jeszcze nie oddawał. „Dawno pani tu mieszkała?” — zapytał. „Od urodzenia”. „O! — zdziwił się. — Obsługuję tę ulicę od roku i nigdy pani nie widziałem”. „Byłam na kuracji” — odpowiedziałam. „Pani jest niezła babka. Lubie takie” — zauważył. „Niestety — powiedziałam — ale

to nie ma nic do rzeczy. Proszę o list”. Był trochę zdumiony moim suchym tonem. Ale ja potrafię zagrać rolę, jaką chcę, pan wie o tym. Potoczył wokół zaniepokojonym wzrokiem, jakby nie dowierzał, że go chcę splawić. „Można do pani przyjść?” — zapytał jeszcze. „Z listem zawsze”. „Nie wiem, czy pani mnie dobrze rozumiała?”. „Nie mam wątpliwości” — odparłam i zatrasnęłam furtkę.
Strasznie byłam ciekawa, kto mógł do mnie pisać. Nie zgadlałabym nigdy w życiu. List pochodził od Kostka. Długi, na dwie strony kancelowego papieru. Musiał całą noc nad nim siedzieć. Był to więc ten pierwszy list od niego i to bardzo głupi. Strasznie się rozłościłam. Co za idiota! Nazywał mnie swoim życiem, beze mnie nie może żyć, pisał, że bałam się go spotkać u Geografy. Trzeba by mu coś odpowiedzieć, ale co? Ten wariat gotów był jeszcze popłakać. Nie lubię, gdy mężczyźni płaczą. Sama się nie-

się zachował, całuje moje ręce i nogi, skonać można! Co zdanie, to bardziej głupie. W końcu pisał, że będzie czekał na mnie w Honoratce w niedzielę o piątej po południu. Nie chce, żebym mu odpisywała, on będzie czekał. Wyobraża pan sobie większego głupca?
Wrzuciłam list do szuflady, zamknęłam mieszkanie i pojechałam na Lipów. Nic mnie ten list nie wzruszył. Jeśli Kostek liczył, że mnie oczaruje pięknymi słówkami, to się pomylił. Doprowadził tylko do tego, że się rozłościłam na niego jeszcze więcej. Jeśli pan chce wiedzieć, to nie mnie wtedy Kostek nie obchodził. Chociaż muszę powiedzieć, że bałam się go spotkać u Geografy. Trzeba by mu coś odpowiedzieć, ale co? Ten wariat gotów był jeszcze popłakać. Nie lubię, gdy mężczyźni płaczą. Sama się nie-

raz poryczę, ale to jest zupełnie co innego. „Całuję twoje ręce i nogi”, pisał. Coś podobnego! Narcyz chyba był pękł ze śmiechu. Na szczęście Kostka w domu nie zastałam, gdzieś się ulotnił. Drzwi otworzył mi sam Geograf, wprowadził mnie do tego pokoju, w którym byliśmy kiedyś. Pan rozumie, nie nadzwyczajnie czułam jeszcze bardziej mnie peszyła. Usadowił się w fotelu, nabił fajkę, a mnie podsunął papierosy. Jak Boga kocham, nie zmyślam. Podał mi pudełko Grunwaldów i powiedział: „Jeśli masz ochotę, to zapal”. Coś podobnego! Gdyby to słyszał nasz dyro! Oczywiście podziękowałam, ale Geograf zaczął się strasznie śmiać. „Jesteś zabawną dziewczyną, Mag-

da. Nie krepuj się. Zachowuj się tak, jakby tu siedział Mariola”. Ale im bardziej grał taką rolę, tym większą miałam treść. Okropnie się czułam. Nie mogłam się opanować. Głos mi drżał i ręce mi się trzęsły. Zła byłam na siebie jak diabli. Więc Geograf zaczął mnie wypytwać o różne rzeczy. Nie, o więzienie nie zahaczył. W ogóle o tamtych sprawach z Narcyzem i Borutą ani wspomniał. Natomiast pytał o takte głupstwa, gdzie mieszkam, co robi ciotka, czy matka przyjeżdża do mnie. Odpowiadałam, a on mruczał, emokał faję i kreślił globusem. Strasznie się lubił bawić tym globusem. Potem zapytał o Mariolę. Powiedziałam, że poszła na służbę. „Nie-możliwe!” — krzyknął. Nie mogło mu się w głowie po-

Dalszy ciąg na str. 10



You know the word HOOOLIGAN, don't you? But do you know that Hooligan was an English name and not a word? In 1890 there lived in London a man whose name was Hooligan. He was a noisy young fellow who made disturbances in the streets and other public places. He was a very bad man. Soon everybody in London knew him and talked about him.

When somebody began to behave badly, people said: A new word came into common use. You can find this word not only in English but in some other languages too.

— Oh, he behaves like Hooligan.

COAT OF ARMS

On the coat of arms of Ireland there is a picture of a red right hand. Why does Ireland have this picture on its coat of arms?

It happened three thousand years ago. Two Viking chieftains went in two big boats to Ireland. One of the chieftains said:

— The first of us who will touch the Irish land will be the king of Ireland.

They were near the Irish coast. The two boats were going faster and faster. But the boat of the one chieftain (his name was Heremon O'Neill) was not so fast as the boat of the other chieftain.

The boats were quite near the land. O'Neill quickly cut off his right hand and threw it over to the land. His hand touched the land first and he became the King of Ireland.

— Ja, Herr Graf, Ihre Frau Gräfin ist gesund...
— Nun, das höre ich sehr gern.

— Ja, Herr Graf, aber Ihre Frau Gräfin ist nicht mehr Ihre Frau...
— Was?

— Ja, die Frau Gräfin nahm das ganze Geld aus Ihrem Schloss und heiratete einen anderen Grafen.
— Johann, Johann, das ist ja schrecklich.
— Ja, Herr Graf, sonst nichts Neues.

RÄTSEL

Was kann zu gleicher Zeit stehen und gehen, hängen und stehen, liegen und gehen?

(Die Uhr)



HE HAS TO STAND

Mark Twain arrived at a small town. Before dinner he went to a barber shop to be shaved.

— Are you a stranger? — asked the barber.
— Yes, this is the first time I've been here.
— You chose a good time to come, Mark Twain is going to read a lecture to-night. You'll go, I suppose?

— Oh, yes.
— Have you bought your ticket? — asked the barber.
— Not yet.
— But everything is sold out. You'll have to stand.
— Well, I always have to stand when that fellow lectures.



IT IS OUR TEACHER

I was very angry. I called my son and said:
— Well, Andy, I talked to your teacher to-day. Now I want to ask you a question. Who is the laziest person in your class?

— I don't know, Father, — said Andy.
— Oh, yes, you do! Think!
— I don't know.

— When other boys and girls are reading or writing, who sits in the class and only watches how other people work?
Andy said:
— It is our teacher, Father.

LANGE PRAXIS

Es war im alten China. Einmal kam ein Fremder mit seiner Frau nach Peking. Sie machten am Abend einen Spaziergang durch die Strassen der Stadt. Vor einigen Häusern brannten Papierlaternen. Der Fremde fragte einen alten Mann:

— Was bedeuten diese Laternen? Wer wohnt in diesen Häusern?

Der Alte antwortete:
— In diesen Häusern wohnen Ärzte. Jede Laterne vor der Tür bedeutet, dass ein Patient dieses Arztes gestorben ist.

Der Fremde sagte:
— Das ist klug. Jetzt wissen wir, wo schlechte Ärzte wohnen. Dort, wo viele Laternen brennen, dort wohnt ein schlechter Arzt. Dort, wo nur wenige sind, dort wohnt ein besserer Arzt. Das ist klar.

— Ja, so ist es, — sagte der Alte und ging weiter.
Einige Tage später wurde die Frau des Fremden sehr krank. Der Mann ging einen Arzt rufen. Er suchte nur ein Haus, wo wenige Papierlaternen brannten. Endlich fand er ein Haus mit nur zwei Laternen. Er bat den Arzt zu seiner Frau zu kommen. Der Arzt war noch sehr jung. Er untersuchte die Kranke und schrieb ein Rezept. Der Fremde sagte:
— Sie müssen ein bekannter Arzt sein. Ich habe gesehen, dass vor Ihrem Haus nur zwei Papierlaternen brennen.

FOUR DOLLARS A LESSON

Toscanini came to a small town in America. He was walking along a street. In one of the windows of a house he saw a piece of paper and he read the following:

Mrs. Smith

Music Lessons

2 dollars a lesson

Suddenly Toscanini heard somebody playing Chopin.

Toscanini said:

— It must be Mrs. Smith, but she does not play Chopin well. I must show her how to play it.

Toscanini entered her room:



— My name is Toscanini, and I want to show you how to play Chopin.

Toscanini played Chopin for Mrs. Smith and went away. A year passed. Toscanini came to the same town again. He was walking along the same street. In the same window of the same house he saw a piece of paper and he read the following:

Mrs. Smith

Pupil of Toscanini

Music Lessons

4 dollars a lesson

Der junge Arzt lächelte und antwortete:

— Ach, mein Herr, ich habe erst gestern meine Praxis eröffnet.

IM RESTAURANT

Ein Herr und eine Dame saßen in einem Restaurant. Der Herr sagte:

— Dieser Herr dort ist Lehar, der Mann der „lustigen Witwe“...

Die Dame, die den Operettenkomponisten und sein Werk nicht kannte, antwortete:

— Ach, da hat dieser arme Mann ein schweres Leben.

SIE HEISST DORSCH

Eines Abends kam in ein Hotel eine Dame. Sie hieß Käthe Dorsch. Der Portier gab ihr ein Formular. Dabei fragte er:

— Wie heißen Sie?

— Dorsch, — antwortete die Dame. — Kann ich ein Zimmer haben?

— Ja, natürlich, dass können Sie. Sogar mit fließendem Wasser, — antwortete der Portier.

— Aber nein, mein Herr, ich heiße nur so.

CROSSWORD

- ACROSS
1. The colour of the sky on a fine day.
 2. Not difficult.
 3. Throw.
- DOWN
1. Good, better, —
 2. Third person, singular of the verb — to use —
 3. We see with them.



EVERYBODY WILL KNOW IT

Do you know that if you tell your friend a piece of news at 12 o'clock at night, and he tells it to two other people, and everybody who knows the news tells it to two other people within 12 minutes, then everybody on earth will know it before morning.

NICHTS NEUES

Ein reicher Graf kommt nach längerer Reise nach Hause zurück. Sein Diener wartet auf ihn vor der Bahnhofsstation.

— Guten Tag, Johann. Schön, dass du gekommen bist. Ist alles in Ordnung im Schloss? Was gibt's Neues?

— Alles in Ordnung, Herr Graf, nichts Neues.

— Wirklich nichts? Das höre ich gern.

— Ja, Herr Graf, nur Ihr Liebingshund ist tot. Er lebt nicht mehr.

— Was, Diana ist tot? Das ist ja schrecklich. Wie kam denn das?

— Ach, Ihr Pferd tötete die arme Diana; aber auch das Pferd ist schon tot. Es lebt nicht mehr.

Was höre ich? Mein Lieblingspferd ist auch tot? Wie kam denn das?

— Ach, Ihr Stall brannte und alle Tiere sind tot. Sie leben nicht mehr.

— Johann, was erzählst du mir? Das ist ja schrecklich. Wie geschah denn das?

— Ach, Herr Graf, zuerst brannte das Schloss und dann erst der Stall.

— Das Schloss? Das ist ja schrecklich. Wie geschah denn das?

— Von einer Totenkerze.

— Von einer Totenkerze? —

— Ja, denn Sie müssen wissen, Herr Graf, das Ihre Frau Mutter auch tot ist. Sie lebt nicht mehr.

— Ach, Johann, Johann, das ist ja schrecklich. Aber meine liebe, junge Frau ist doch gesund, nicht wahr?

Dalszy ciąg
ze str. 9

mieścić, że Mariola jest służącą. „Naprawdę — powiedziałam — jeden doktor wyszukał jej miejsce. „Od czego on doktor? — zapytał Geograf — od stręczenia służących? — „On jest prawdziwym doktorem! — powiedziałam. „Nie przypuszczam — rzekł — że Mariola pójdzie na to“. Zgasła mu fajka, więc rzucił ją na stół, wziął papierosa i mnie równie podsunął. Zapaliliśmy, inaczej się teraz czułam, niż na początku wizyty. Gadałam z nim jak z kumpłem. Niech pan mnie źle nie rozumie. Mówi pan, że mnie podebrał ta Mariola? Może. Ale faktem jest, że naprawdę się przejał jej losem. Bardzo porządny gość z niego.

Wyszłam od Geografa chyba po trzech godzinach. Dopiero na ulicy zdałam sobie sprawę, jak mnie wymaglował. Wyciągnął ze mnie wszystko, co tylko chciał. „Nie jest tak źle — powiedział w końcu, — nadrobisz, co straciłaś“. Mówił tak pewnie, że o mało się nie nabrałam. Ale to nie była prawda. Nigdy nie odrobię tego, co straciłam. Nie wierzę w to. Nauka łatwo mi idzie to fakt, ale Geograf mówił o czym innym, a ja myślałam o czym innym. Ale mnie wymordował jak nigdy. Boże święty! Na ulicy o mało nie upadłam. Za-

toczyłam się na chodniku i jakiś starszy facet podtrzymał mnie za rękę. Zrobił to odruchowo, ale kiedy spojrzałam w moje oczy, zapytał słodziutko: „Słabo pani? „Dziękuję, już w porządku! — odpowiedziałam i poszłam dalej. Nie muszę mówić, zła byłam, co sobie gość pomyślał o mnie. Potem żalowałam, że mu od razu nie odpałam jak należy, bo siedzi za mną i strasznie przygadywał. Pecha mam nie z tej ziemi do tych rzeczy. Zebym spotkała stu porządných mężczyzn i jedną świnię, to ta świnią zawsze się do mnie przyklei. Nic go nie wzruszało, że ludzie szli za nami i przed nami, a przecież mógłby być moim ojcem. Nie ma pan pojęcia, co ten kretyń gadał. Glupiec, zapytał się, czy nie słyszałam o Humbercie i Lolice, on może mi tę historię opowiedzieć, bardzo ładna historia o miłości, jakbym o tym nie gadała z Krychą, powieści wprawdzie nie czytałam, ale wiem, o co chodzi. Właśnie taka jestem jak Lolita, mówił, dorosła i niedorośła. To już mnie wkurzyło, każdy, kto mnie spotyka, to wyzywa, jak tak dalej pójdzie, to będę odstawiać najgorsze typy ze wszystkich powieści. Przystanęłam i powiedziałam mu: „Odwal się pan, bo jak dam w pysk, to się pan nie pozbiere“. Mówię panu, oczy mu się zrobiły większe niż okulary, poczerwieniał i stanął jak słup. Geograf mnie wymęczł, powietrze odurzyło, a tu trafił się zbawiciel.

Na Kościuszki wsiadłam do siódemki i, Boże kochany, struchlałam. Widocznie taki pechowy dzień mi się szykował. Na pomoście stał milicjant i wydawało mi się, że to Feluś. Nie jestem w

końcu pewna czy to był Feluś, czy nie. Wydał mi się bardzo podobny do niego, a jednocześnie ogromnie zmieniłony jakby po chorobie. Rzucałam w tamtą stronę ukradkowe spojrzenia i raz mi się wydawało, że to on, drugi raz, że nie on. Za nic w świecie nie chciałam się spotkać z Felusem i na trzecim przystanku wysiadłam. Mariola chyba by nie zwróciła na to spotkanie żadnej uwagi, ale ja nie mogłam pozbyć się starych lęków. Nie potrzebowałam się przecież niczego obawiać, wołałam jednak nie spotkać nikogo, kto by mi przypomniał te przykre chwile, które przeżyłam w pace Boruty i Długiego. Myślałam, że pan z łatwością się domysli dlaczego. Oczywiście, Mariola to inna sprawa. Zaczekałam na następny tramwaj i pojechałam do domu.

Ciotka już przyszła z pracy, zdążyła przyszykować obiad. Była bardzo ciekawa, jak mi poszło z Geografem. Musiałam jej opowiedzieć wszystko. Była ogromnie zadowolona. „Nareszcie, Mariola! — powiedziała. Zebrało jej się na gadanie, nie ma co! Uznała, że nadzedł czas, aby mi dać kilka nauk moralnych. Rzecz jas-

na, odstawiła najpierw gadkę o sobie i o mojej matce, jakie to one miały dzieciństwo, a jakie ja miałam, znam to na pamięć, dyro nam przy każdym święcie mówił to samo. Dobrze, że je ojciec nie sprzedał któremu bezdzielnemu bogaczowi. Fakt, pojawiały się w gazetach takie ogłoszenia: „Sprzedam dziecko“. Powiedziałam, że wielka szkoda, bo matce byłoby lepiej i może mnie również. Już taka jestem wariatka, wiem że źle nieraz mówię, ale jak powiem jedno niedobre słowo, to dodam do niego natychmiast sto jeszcze gorszych. „Magda, nie bluźnij!“ — zawołała ciotka.

Ciotka była strasznie namiętna, skoro myślała, że jeden Geograf załatwi wszystko, i moją naukę, i pracę, i dobrą opinię. Kazała mi przysięgać, że nie będę się spotykać z Narcyzem. Podniosłam dwa palce do góry i szczerze przyrzekałam, że przy najbliższej okazji powiem Narcyzowi, aby sfruwał ode mnie. Ciotka rzuciła mi się na szyję. Ale nie chciałam się już pytać ciotki, czy taki pan doktor Tosiek, bo on się doktorem kazał nazywać, różnił się wielce od Narcyza. Będę miała

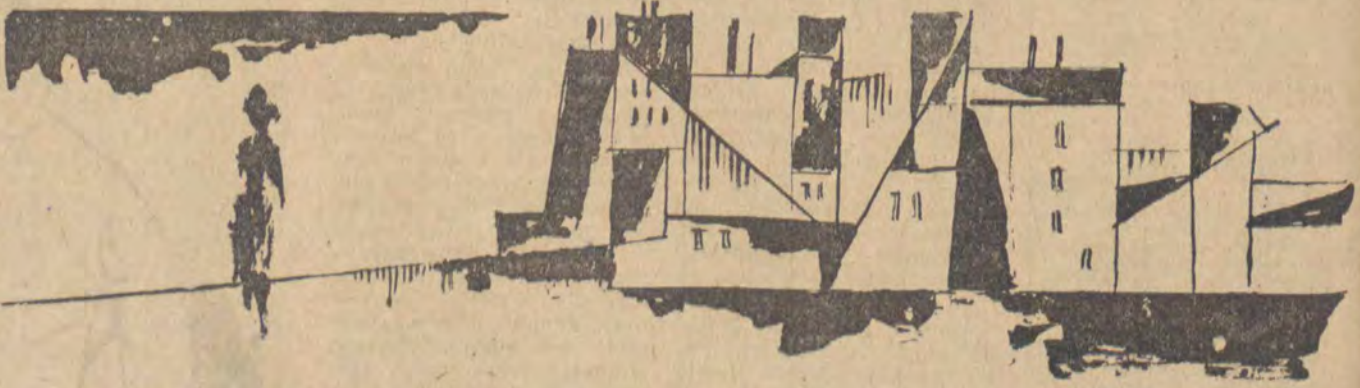
jeszcze na ten temat coś do powiedzenia. Chyba tylko tym, że nosił bródkę. Ciekawa jestem, po co nas ścigał do Grandki. I dlaczego chcieli koniecznie ten ubaw zorganizować. Uważali nas za kurewki, to jasne. Podobnie jak i ten gość, który mnie dzisiaj zaczepił. Ale co ciotka mogła o tych rzeczach wiedzieć.

Niech pan sobie wyobrazi, po południu listonosz przyniósł nowy list od Kostka. List był nadany jako express i przyniósł go inny listonosz, starszy gość. „Od kogo to Magda?“ — zapytała ciotka. „Nie wiem, ciotciu! — powiedziałam, choć domyśliłam się natychmiast po kopercie, że to od Kostka. „Przeczytaj!“ — kazała ciotka. Więc otwarłam kopertę i zaczęłam czytać. Boże święty, co ten wariat nie powypisywał! Nie chcę powtarzać tych bzdur, mogę panu pokazać sto podobnych listów, to sobie pan cała powieść ułoży. Ciotka słuchała tego listu jak świętego kazania, aż mi się na śmiech zbierało. Najważniejsze, że Kostek zmienił plany. Odwołał Honoratkę i proponował wieczór w klubie na Przędzalnianej, tam jest kino „Odra“. Zapowiedział, że

spotka mnie wielka niespodzianka. Przyjdzie w sobotę do mnie, pisał, ciotkę też poprosi, aby mi pozwoliła iść na ten wieczór. Ja już przejrzałam jego grę, bał się, że może nie przyjdzie do Honoratki. Ale ciotka zawołała: „Musisz koniecznie iść, Magda!“ Ciotka była okropna na punkcie tego Kostka. Niesamowita historia!

Nie koniec niespodziankom tego dnia, bo Mariola nie wróciła na noc. „Magda — powiedziała ciotka — zadzwoni do doktora, niech ci poda adres państwa, gdzie Mariola pracuje“. Nakreśliłam numer, ale nikt się nie odezwał. Widocznie doktor wyszedł z domu, albo miał dyżur. „Boże święty, co się z nią mogło stać?“ — zawołała ciotka. „Nie obawiaj się, nie zginęła!“ — odparłam. „Żeby tylko nie spotkała się z tym Narcyzem“. „Nie ciotciu — powiedziałam — Mariola nie jest taka głupia“. Ale i ja byłam niespokojna, do tego potrzebowałam Marioli jak nigdy. Ten wariat Kostek zadał mi porządnego klina, a w tej sytuacji tylko Mariola mogła mi poradzić.

D. c. n.



Włoska szkoła telewizyjna: TEDESCUOLA

W dyskusji: „TV a twoje dziecko” zabiera głos starszy asystent Katedry Pedagogiki UŁ, mgr P. Siłowicz, który w cyklu artykułów zrealizowanych w ramach projektu telewizyjnego nauczania i wychowania młodzieży, na szeroką skalę stosowany w szeregu państw europejskich.

red.

Na całym świecie problem wychowania i nauczania młodzieży urosł do rangi naczelnego zagadnienia społecznego, a praktycznych rozwiązań dla niego poszukują już nie tylko pedagodzy, dydaktycy, lecz i politycy

w parlamentach. Ostatnio, w wielu państwach zachodnich zaczęto wykorzystywać do nauczania i wychowywania młodzieży telewizję. Włoska TEDESCUOLA jest jedną z pierwszych telewizji, która zastosowała ten eksperyment.

Sytuacja szkolnictwa we Włoszech jest zastraszająca: brakuje szkół, tak podstawowych, jak i średnich, a wyższe uczelnie są z reguły niedostępne dla młodzieży robotniczej i chłopskiej.

Podczas opracowywania audycji telewizyjnych, dotyczących kształcenia zawodowego, straszyło, że brak odpowiedniego wykształcenia zawodowego jest główną przyczyną nieangażowania do pracy. Włoskie szkoły podstawowe, aczkolwiek znacznie różnią się od naszych (wyższy stopień politechnizacji), to jednak i one nie przygotowują do zawo-

du, a szkół zasadniczych i średnich zawodowych jest we Włoszech niewielka ilość. Z kolei, właściciele fabryk, wymagają wysokich kwalifikacji zawodowych. Tak wytworzyła się sytuacja paradoksalna: mimo wolnych miejsc pracy, liczba bezrobotnych stale wzrasta. Badania prowadzone przez radio i telewizję włoską oraz oddzielnie przez włoski parlament, wykazały, że ponad siedemset tysięcy młodzieży w wieku od 14 do 21 lat nie posiada podstawowych kwalifikacji do podjęcia pracy zawodowej. (Dane dotyczą: 1959/60 r.). Dalsze badania ujawniają ponadto, że nie więcej niż 1/3 młodzieży w wieku szkolnym (od 11 do 14 lat) posiada świadectwa szkolne. Wśród młodzieży, w wieku 14—18 lat aż 84% nie otrzymało dalszego, poza podstawowym, przygotowa-

nia zawodowego do pracy (w ogóle nie uczęszcza do żadnych szkół!). Dlatego też R.A.I. zdopingowany ponadto dziesiątkami tysięcy listów od społeczeństwa włoskiego, postanowił wykorzystać inicjatywę TEDESCUOLA jako nagłą pomoc doraźną przy rozwiązaniu palącego problemu kształcenia i wychowania młodzieży.

Włosi złośliwie powiadają, że „rząd poświęca wiele uwagi zagadnieniom nauczania, tylko... brak mu konkretnych wniosków”. Okazało się jednak, że propozycja telewizyjnego kształcenia była wnioskiem nader konkretnym i dała już praktyczne rezultaty. TEDESCUOLA przystąpiła do nadawania regularnych kursów lekcji szkolnych, co szerokiej rzeszy młodzieży umożliwiło zdobycie podstawowego minimum, niezbędnego do rodzenia pracy zarobkowej, jak również do otrzymania elementarnego wykształcenia ogólnego.

TEDESCUOLA szczególnie pomogła tej części młodzieży, która zamieszkuje obszary, upośledzone ze względu na znikomą ilość szkół, i stała się ograniczoną możliwością kształcenia.

Poważnym dywilem było dla TEDESCUOLA zagadnienie: jakiego typu mają być te szkoły „telewizyjne”? — czy szkołami ogólnokształcącymi, czy też zawodowymi? Wszelkie racje przemawiały za zorganizowaniem szkół zawodowych, ponieważ z powodu elitarności uczelni wyższych, kształcenie zawodowe jest we Włoszech przydatniejsze od ogólnokształcącego. W rezultacie, opinia przechyliła się na korzyść szkół zawodowych.

Należy zauważyć, że tak szeroko pojętego nauczania telewizyjnego ośmielił się podjąć jako pierwszy Włoch. Telewizyjne nauczanie we wszystkich innych państwach europejskich było do tego czasu wykorzystywane jedynie w formie pomocniczych kursów lub lekcji wchodzących w skład programów szkolnych, a nie jako normalne, uprawniające do otrzymania świadectwa, szkolnictwo. Włoski eksperyment oczywiście nie rości sobie pretensji do uniwersalnego rozwiązania wielkiego problemu, jakim jest nauczanie

ogólnokształcące i zawodowe, wszakże wykazał ogromne możliwości i przyszłościowe perspektywy.

Wiele trudności związanych z telewizją szkolną stało się natychmiast widocznymi. — Wyniknęły one głównie z samej istoty eksperymentu: jego nowości. Można jednak śmiało stwierdzić, że początkowy eksperyment rozwinał się obecnie w dobrze zorganizowaną i sprawnie działającą organizację, i w czasie dwóch początkowych lat istnienia osiągnął pozytywne wyniki. Należy zaznaczyć, że od samego początku TEDESCUOLA doznała przychylnego przyjęcia we wszystkich częściach Włoch, co wskazuje na realną potrzebę takiej działalności.

TEDESCUOLA dała ponadto możliwości kształcenia młodzieży, pozostającej w szpitalach, zakładach poprawczych, czy nawet więzieniach, gdzie audycje TEDESCUOLA zostały przyjęte entuzjastycznie i szeroko wykorzystywane.

Ruch kształcenia telewizyjnego ogarnął już całe bez mała Włochy. Powstała olbrzymia ilość grup uczących się (tzw. Posti di Ascolto), równie olbrzymia ilość punktów zbiorczych, konsultacyjnych tzw. PAT. Grupy te przerabiają odpowiedni kurs szkoły telewizyjnej — I lub II odpowiadający normalnym dwóm latom szkoły zawodowej. Słuchacze TEDESCUOLA korzystają ze specjalnych podręczników, konsultacji, zdają egzaminy, otrzymują świadectwa i w ten sposób zdobywają konieczną wiedzę i umiejętności zawodowe. Lekcje telewizyjne nadawane są codziennie po jednej godzinie, w porze od 14- do 16-tej. Każdy uczestnik kursu może uczestniczyć z innymi audycjami uzupełniającymi.

Dyrektorem TEDESCUOLA jest znany już ze swej działalności, wybitny pedagog i dydaktyk, prof. Italo Neri, a sama TEDESCUOLA jest przedmiotem zainteresowania wielu wybitnych specjalistów, którzy z całego świata przyjeżdżają do Rzymu, aby zapoznać się bliżej z organizacją, działalnością i osiągnięciami TEDESCUOLA.

PIOTR SIŁOWICZ

Kto jest dyrektorem

Dyrektorem Teatru Powszechnego jest, oczywiście, dyrektor Piotrowski, a dyrektorem Teatru 7.15 — dyrektor Tomski; ale w poprzednim numerze (patrz: „A jednak się eksperymentuje”) dyrektorami tych teatrów mianowaliśmy ich kierowników artystycznych: Janusza Kosińskiego i Romana Sykałę. Za co przepraszamy dyrektorów, życząc jednocześnie kierownikom artystycznym dyrektorskich tytułów i foteli.

Polecamy audycje

W czwartek (19. 7.) o godzinie 20 ujrzymy ciekawy reportaż filmowy pt. „Ludzie znad Odry” mówiący o życiu ludzi, którzy osiedlili się na Ziemiach Zachodnich. O 20.30 zamiast „Kobry” film produkcji angielskiej „Tajemnica Willi Franchise” reżyserowany przez Lawrence’a Huntingtona. Konflikt między prawnikiem a rutynowaną policją ze Scotland Yardu powstaje na tle uprowadzenia nieletniej. Ciąg dalszy dziś wieczorem.

W piątek 20. 7. kolejna premiera Teatru Powszechnego TV z Łodzi. Tym razem będzie to „Sprytna wdówka” Goldoniego w reżyserii i adaptacji I. Kanickiego. Wśród wykonawców zobaczymy Hanne Bedryńska, Mariana Gamskiego, Emila Karwiczę i innych.

W sobotę 21. 7. Grzegorz Łasota zaprezentuje „Pegaza” tym razem z Moskwą o godzinie 20.05. Film fabularny produkcji polskiej w reżyserii Konrada Nałęckiego „Druzi człowiek” ujrzymy o godzinie 20.50. Grają tu: Wanda Koczweska, Teresa Tużyńska, Jan Machulski i inni. Program taneczno-muzyczny z cyklu „Raz, dwa, trzy” pt. „Parostatkami do Młocin” zobaczymy o godzinie 22.30.

W niedzielę 22. 7. o godzinie 18.45 ujrzymy program rozrywkowy „Nie trzeba się frasować” w reżyserii Ewy Bonackiej. Wykonawcami będą: Krystyna Sienkiewicz, Mieczysław Karłowicz, Wojciech Siemion, reżyser i inni. O 20.30 film fabularny produkcji węgierskiej „Mezallians”. Jest to przeciętna komedia w reżyserii F. Bana.

„TELEMAN”

Mały jubileusz ŁOT

Przechodząc skrzyżowaniem ulic Narutowicza i Sienkiewicza każdy, chce czy nie chce, musi zwrócić uwagę na najwyższy łódzki wieżowiec, siedzibę Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Oko cieszy, a serce raduje ten reprezentacyjny gmach i trudno oprzeć się poczuciu zrozumiałej dumy (bo my, łódzianie, jak zresztą wszyscy Polacy, lubimy się chwalić): nasza łódzka Telewizja posiada idealne warunki dla swego rozwoju, ba! — przecież jest najlepiej po Warszawie wyposażonym ośrodkiem telewizyjnym w Polsce. Być może, że ktoś z nas, przechodniów dorzucałby ponadto sceptyczną dygresję — wszystko ładnie, cacy, ale co z tego, jeżeli program często jest chałowy?

Wydać mi się jednak, że narzekania i pretensje należałoby odłożyć na później, gdyż przecież jubilatowi nie wypada prawie moralować, a przeciwnie — tylko komplementy. I sądzę jeszcze, że tych komplementów pod adresem łódzkiej telewizji znaleźć można bez większego trudu sporą ilość. Przede wszystkim należy w ogóle dziękować, że jest, że żyje, że działa, że spisuje się wcale nie najgorzej — ta nasza łódzka TV. Na swoje szczęście nie posiadamy możliwości odbierania programów lokalnych z innych ośrodków, ale gdyby tak państwo zechełi kiedyś przy okazji — na przykład bawiąc w Katowicach obejrzeć sobie dla porównania program lokalny tego ośrodka, to przypuszczam, że sym-

patia, więcej — aprobatą dla ŁOT-u, od tej pory nie opuszczałaby państwa.



W ogóle wydaje mi się, że najwyższy czas przestać biadolić, narzekać i wybrzydzac na własny ośrodek, natomiast najwyższy czas, poważnie zastanowić się nad pomocą dla niego. Luksusowe warunki ŁOT-u to tylko pozory. Nie zapominajmy o monopolistycznej polityce Warszawskiego Centrum, o hierarchicznej zależności od niego, o braku podstawowych funduszy, dotacji, nie wystarczającej liczbie etatów pracowników w łódzkiej TV, a wtedy te luksusowe warunki przestaną nas mianić.

Już sześć lat mija od momentu, kiedy grupa młodych i zapalonych entuzjastów, przeważnie absolwentów Łódzkiej Szkoły Filmowej rozpoczęła pracę w nowo powstałym łódzkim ośrodku telewizyjnym. Na czterdziestym piętrze wieżowca, wówczas jeszcze nie otykowanego, stojącego w otoczeniu ruder, w małym pokoiku, którego powierzchnia nie przekraczała rozmiarów pokoju w nowych blokach, a który spełniał niesłychaną wprost ilość funkcji — był rekwizytornia, garderoba, sekretariat, gabinetem nacz. red., reżysersa, inżyniera,

sala prób, studium, itd. itd. — tworzone program przez trzy lata. Dopiero od 1959 roku TV łódzka pracuje w normalnych warunkach lokalowych. Ale wciąż brakuje jej właściwych podstaw — głównie funduszy, no i tego nieszczęsnego, już przysłowiowego wozu transmisyjnego. ŁOT musi się obywać bez niego i nie wiadomo kiedy go otrzyma. Innym ośrodkiem terenowym TV pomaga społeczeństwo — Telewizji Gdańskiej między innymi ufundowało, brakujące etaty, szczytnie TV zawdzięcza swoje istnienie wyłącznie szczeciniakom, dla TV Katowice górniczy opłacają całe programy i nie narzekają, że te są kiepskie, chociaż mają pełne prawo do wybrzydzenia. W Łodzi sytuacja odwrotna — nikt nie pomoże, a wszyscy krytykują.

A jednak, pomimo tych wszystkich skomplikowanych i rzeczwiście obiektywnych trudności, pomimo łamszenia TV-Łódź przez warszawską Centralę, ŁOT rozwija się i ma swoje sukcesy. Teatr Popularny stał się prawdziwie popularny i wyrósł na groźnego konkurenta dla warszawskiego teatru TV, programy rozrywkowe z Łodzi są zaliczane do najludniejszych programów tego typu w polskiej telewizji — tak, tak, jest się czym pochwalić, co doceniając, złożymy TV-Łódź w dniu jej małego jubileuszu: sześciolatnia istnienia — serdeczne gratulacje, życząc dalszych osiągnięć.

KOWALSKI



Największym marzeniem człowieka pracującego w telewizji amerykańskiej jest otrzymanie własnego programu („show”). Taki niedługo (półgodzinny lub godzinny) wylunek w programie tygodniowym może stać się szybko bardzo dochodowym. Dzieje się tak dlatego, że „show-makerzy” starają się zmieścić w swej audycji jak najwięcej reklam, za które dostają grube pieniądze. Do najbardziej znanych „show-makerów” należą Ed Sullivan, Perry Como, Jack Benny, Red Skelton. Audycje każdego z nich wymagają trochę szerszego omówienia, ale w następnych numerach postaram się zamieścić o każdym z nich kilka słów. Dzisiaj zaprezentuję Jerry Lewisa. W porównaniu z uprzednio wymienionymi „show-makerami” jego pro-

gram jest stosunkowo „młody”. Zanim Lewis zaczął pracować w telewizji, był znanym komikiem filmowym. Razem z Dean Martinem („Młode lwy”) tworzył znakomitą parę od 1946 do 1955 r., kiedy to ich drogi rozeszły się. Obecnie Martin kreśli film z Marilyn Monroe, a Lewis prowadzi swój program w sieci ABC. W swoim „show” wykorzystuje on swoje uzdolnienia pantomimiczne i komedowe, co wpływa na duże zaintere-

sowanie wśród widzów tą audycją.

Na zdjęciu: Dean Martin (który również występuje w TV) i Jerry Lewis.

Angielski krytyk telewizyjny Alastair Cooke powiedział: „W telewizji amerykańskiej bohater nie żeni się z panią Butterfly po to, aby mówić o jej wdziękach, a jedynie w tym celu, aby była środkiem pomocniczym w szybszym sprzedawaniu mydła lub perfum jakiejś firmy”.



Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów“



Fot. Wiesław Stachlewski

CO BĘDZIE Z JĘZYKAMI?

Wygląda na to, że języki weszły w stadium zaniku. Nie myślę tu oczywiście o naszych organach anatomicznych, lecz o językach jako narzędziach porozumiewania się między ludźmi.

Język polski takim narzędziem nie jest w żadnej wymiernej skali, służąc przecież ledwie garstce mieszkańców naszego globu.

Przed paru laty prasa robiła wokół tej sprawy wiele wrzawy, sugerując jednocześnie, że Polacy masowo zaczynają uczyć się języków obcych. W tej chwili po raz pierwszy mamy dobrą okazję, by ocenić rezultaty. Rzeczywiście: ponure rezultaty. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Okazję do zdyskontowania naszych umiejętności językowych stanowią egzaminy maturalne oraz — w tym roku wprowadzone po raz pierwszy — egzaminy wstępne z języka obcego na wyższych uczelniach. Oczywiście, w ten sposób możemy ocenić wyłącznie młodzież, ale tym lepiej, bo problem ukazuje się w całej swej dynamice. Zresztą, za parę lat dzisiejsze pokolenie głuchoniemych maturzystów, będzie pokoleniem „w kwiecie wieku“.

Około 23 procent tegorocznych maturzystów łódzkich liceów ogólnokształcących wybrało sobie jako piąty przedmiot egzaminacyjny — język obcy. Statystyka pozornie optymistyczna. Zważywszy jednak, że wszystkie 5 języków razem wziętych (rosyjski, angielski, niemiecki, francuski i łacina) miało znacznie mniej „zwolenników“ niż fizyka lub geografia. Wyników nie podajemy, bo nie one nie mówią — nauczyciele przecież wymagali tylko tego, czego nauczyli.

A czego nauczyli? To okazało się dopiero podczas egzaminów wstępnych w wyższych uczelniach.

Najlepsze rezultaty osiągnęli kandydaci na Uniwersytet Łódzki. U blisko 1600 zdających zanotowano tam 86 (czyli 5 proc.) wyników bardzo dobrych i 276 (czyli 17 proc.) wyników niedostatecznych. Może jednak istnieć pewne przypuszczenie, że z uwagi na ciasnotę sal egzaminacyjnych, zachodziły wypadki „ściągania“, co nieznacznie zniekształciło obraz ostatecznych wyników.

Takich możliwości nie było w Akademii Medycznej. Kandydaci na Wydział Lekarski (więc ci najzdolniejsi) z języka rosyjskiego „osiągnęli“ 25 procent niedostatecznych, kandydaci na stomatologię — z tegoż języka — 47 procent niedostatecznych, (farmacja najlepiej — 15 proc.) Ogółem w całej Akademii z języka francuskiego było 50 procent „dwojki“, a z języka angielskiego — 52 procent.

Egzamin z języka obcego na wyższych uczelniach obejmował 3 zadania: tłumaczenie z języka obcego na polski, z polskiego na obcy oraz postawienie pytań do tekstu obcojęzycznego. To trzecie zadanie, dziecinnie łatwe, zostało wprowadzone na wyraźne żądanie szkolnictwa średniego. Zdarzały się wypadki, że z dwóch pierwszych zadań kandydat otrzymywał stopień niedostateczny, z trzeciego — bardzo dobry, co razem dawało 9 a podzielone przez ilość zadań — w wyniku stopień dostateczny.

Widać wyraźnie, że egzamin wstępny (a zapewne również maturalny) przy dość niskich wymaganiach, dotyczył tylko znajomości biernej języka. Języka, który uczeń „pobierał“ w szkole przez pięć do siedmiu lat! Czy przypadkiem przytoczone tu fakty nie stawiają pod znakiem zapytania całego systemu nauczania języków w szkole średniej? Czy nie nasuwa się myśl o zmarnowanych pieniądzach, wysiłkach nauczyciela i czasie ucznia?

Pozostawiamy te pytania bez komentarza.

PAN KOMORNIK PRZYSZEDŁ

W Łodzi działa dziesięciu komorników Sądu Powiatowego. Wszyscy oni łącznie w roku ubiegłym ścignęli od dłużników ponad 26 milionów złotych. Z tego 23 miliony przekazali wierzycielom, przeszło półtora miliona do skarbu państwa z tytułu należności sądowych, opłat i grzywien, zaś 1,1 miliona zatrzymali jako należności dla siebie i zwrot kosztów prowadzenia kancelarii.

Przeciętny dochód komornika nie jest tak duży, jakby wynikało z powyższego zestawienia, bo każdy z nich zatrudnia 1 lub 2 pomocników i ponosi wszystkie koszty prowadzenia swojego biura. Łącznie z pensją sądu, komornik zarabia orientacyjnie od 3 do 5 tysięcy złotych.

Mimo stosunkowo dobrych zarobków, trudno jakoś o następców. Dwóch łódzkich komorników ma staż pracy około 30 lat, pozostali zaś minimum 10 lat. Ich przeciętny wiek waha się około sześćdziesiątki.

Brak chętnych do tej pracy tłumaczy się chyba ogromnym zapotrzebowaniem komornika. Przeciętnie w ciągu roku ma on do zaliczenia około 1600 spraw, nie licząc spraw starych, ciągnących się latami.

Gros spraw, powierzanych komornikom, stanowią w tej chwili dług osób prywatnych wobec instytucji. Na drugim miejscu znajdują się alimenty, na trzecim — koszty i grzywny sądowe.

Czytelnicy w teczce

Jesteśmy w posiadaniu niezwykle cennego dokumentu. Zanim poznacie jego treść, słowo wprowadzenia: kioskarkę przy ul. Bratysławskiej 106 otrzymywał do niedawna 10 numerów tygodnika „Film“, ostatnio rozdzielnia „Ruch“ Śródmieście zmniejszyła „nadał“ do 7 numerów. Sprzedawca zabiegał o 10. Nic nie wychodziło. Aż dnia 7 lipca otrzymuje odredne pismo tej treści:

„Proszę przyjąć w swojej ewidencji stałych czytelników (teczkach) ob. Helenę R. na tygodnik „Film“. Nadział

zostaje dla obywatela powiększony o 1 egz. tak że proszę go zarezerwować na stałe dla w/w czytelniczki“.

Kier. O.R. Śródmieście W/2... I. Makówka.

A myśleliśmy, że przyniesienie kandydatów w teczce już dawno się skończyło. Jeśli jednak ob. Makówka jest innego zdania, sadzimy, że mogą się do niego zgłaszać wszyscy czytelnicy „Filmu“. W/w z pewnością nikomu nie odmówi odrednego pisma oraz dodatkowego nadziału.

Kup pan — ale pomyśl

Na Konferencji Samorządu Robotniczego w MPRB nr 5 — jednej z wielu, jakie odbyły się w zakładach całego kraju na temat postępu technicznego, stwierdzono, że wskaźnik wykorzystania posiadanego sprzętu jest zaskakująco niski i przedstawia się jak 1:7. Przy czym? Brak zainteresowania brygadzystów i kierowników grup roboczych, niechęć pracowników do korzystania ze sprzętu bardziej precyzyjnego, jak cyklinaarki, szlifierki, sprężarki do malowania.

Okazało się również, że zakupy maszyn w latach ubiegłych dokonywane były bez specjalnego przemyslenia i dość niefrasobliwie, na zasadzie „a może się przyda“?

Wynik: niektóre maszyny leżą bezużytecznie w magazynach już od dłuższego czasu, innych potrzebnych — brak. Co gorsza plan kup na rok 1963 też podobno zrobiony jest „bez głowy“ i był mocno krytykowany.

Najciekawsze, że jako główne swe zadanie przedsiębiorstwo widzi mechanizację robót. Kim? Czym? I jak?

PS. Konferencja się przydała chociażby po to, aby pomyśleć, że się nie myślało.

Popyl na chemików

Z tablicy informacyjnej zawieszanej na II piętrze w gmachu chemii Politechniki Łódzkiej jasno wynika, że nie ma to, jak być chemikiem. Aż 48 młodych adeptów chemicznej sztuki chcą zatrudnić od zaraz różne zakłady i instytucje. Skromna tablica z przybitymi „piuskwikami“ ofertami stanowi interesujący przyczynek do sytuacji kadrowej w polskim przemyśle chemicznym. Na przykład lista zapotrzebowania na absolwentów „stworzona“ przez Zjednoczenie Przemysłu Skorzanego, a opatrzonego dyrektora Jelonia, „woła“ o 19 osób. Z tego 14 osobom oferuje stanowisko starszego mistrza, 4 — kierownika laboratorium i 1 — kierownika czyszczalni ścieków. Potrzebujący wymieniali pięć czynników, które mają zachęcić ewentualnych kandydatów: mieszkanie, stanowisko, pensja w okresie stazu, pensja po stazu i walory miasta — siedziby danego zakładu. Przykład:

„Lubuskie Zakłady Garbarskie w Lesznie mieszkanie dla rodziny zapewnione; kierownik oczyszczalni ścieków: 1800 zł, po stazu 1900—2000 zł; korzystna komunikacja z blisko położonymi miastami powiatowymi jak Bolesław, Zagan, Szprotawa“.

Zakłady skorzane w Nowym Targu zastrzegają wprawdzie „mieszkanie zapewnione w... hotelu robotniczym“ ale dla przeciwwagi „kuchnia“ Zakopanem — niedaleko, a jakie piękne!

Zakłady Garbarskie w Kamiennej Górze zapewniają „mieszkanie dla osoby samotnej“, a jako rekompensatę za samotność proponują „Dom Kultury, Klub NOT itp.“. Styszełsinny skądinąd o kolosalnych trudnościach mieszkaniowych tych zakładów i łączących się z tym kłopotach w zdobyciu kwalifikowanej kadry technicznej. To wymaganie samotności od ewentualnego kandydata nie wydaje nam się śmieszne, tylko smutne...

Dziwi nas natomiast błąd psychologiczny popełniany przez większość zakładów przemysłu skorzanego. Podają one pensję w okresie stazu — złotych 1500 i pensję po jego odbyciu — 1500—2000, 1500—2000, 1500—2000 itp. Wynika z tego, że „jak dobrze pójdzie“ to po stazu można zostać na długo przy 1500 złotych. Absolwenci są wprawdzie pełni zapału, ale myślą trzeźwo. Jeżeli tak jest, że można dostać od 1500 do np. 2500, skłonni są wierzyć, że najprawdopodobniej im przypadnie w udziale ta dolna granica...

Jedynie zakłady w Swidnicy oferują po stazu od 1800 do 2000 i zakłady w Lesznie (ale tylko dla kierownika oczyszczalni, dla mistrza — nie) od 1800 do 2000.

Mało optymistyczna sytuacja mieszkaniowa dla potencjalnych pracowników „skóry“ obiecuje się miejsce w domu robotniczym, bądź pokój przy rodzinie, pozwala się domyślać trudności, jakie mają zakłady w „gromadzeniu“ wykwalifikowanej kadry. Jeżeli nie ma nadziei na mieszkanie np. w Krapkowicach i w Łodzi, a pracę chemiczną znaleźć łatwo i tu i tu, to najczęściej wybiera się Łódź.

I jeszcze jedna uwaga — na 19 potrzebnych, 14 zamierza się zatrudnić jako starszych mistrzów. Wiele razy styszełsinny, że polski przemysł nie może sobie na razie pozwolić na takie luksusy, jak inżynier w roli mistrza, że funkcję tę świetnie potrafi pełnić technik. „Skóra“, jak widać, sobie pozwala. Jeśli chodzi tu tylko o „przygotowanie“ inżyniera do tego stanowiska w okresie stazu — zgoda. Jeśli natomiast i na potem — zgłaszamy sprzeciw.

Poza wspomnianym przemysłem skorzanym potrzebują chemików zakłady zielarskie, zakłady kopii filmowych, zakłady samochodowe, nawet Zakłady Zwalczania Szkodników Zbożowych. One też zgłaszały zapotrzebowanie na chemika, ale kategoricznie dodają „tylko mężczyźni!“ Widać kobieta nie jest w stanie wygrać bitwy np. z wielkim zbożowym. A może szkodzić? Szkoda kobiet (gdzieby nie było szkodzić) — nie byłoby przedsiębiorstwa i stąd to zastrzeżenie?

ODGŁOSY

SUCHOTY KIESZONKOWE I LEKARSTWO

Magazynier punktu skupu węgla „ZGŚ“ w Łasku Bronisław P. chorował na tyfus, suchoty kieszonkowe. Szukając lekarstwa na tę chroniczną chorobę, która pozbawiała się w miarę zwiększającej się dozy kochańka p. magazyniera i wypróżnionych polityków „czystej wyborowej“ wpadł na pomysł: — Odpale trochę torfy kierownikowi magazynu Centrali Surowców Włókienniczych i Skorzanym w Pabianicach Julianowi A., a on będzie bez zastrzeżeń przyjmował ode mnie węgiel zanieczyszczony odpadami greplarskimi. Jak pomyślał — tak zrobił. Gdy zabrakło odpadów, przemysłowy Bronisław P. wypakował worki zamiast węgla — kamieniami. Julian A. okazał się równym kompanem. Płynęła setki i tysiączki, aż urwała się manna i nastała dół chude. Tak to już widac los kombinatorów.

Mądrość i wiedza za dewizy

W informatorze o naszych szkołach wyższych, przeznaczonym dla zagranicy, podane są „ceny“ studiów na polskich uczelniach. Wynoszą one miesięcznie w dolarach od 50 do 100 na uniwersytetach i szkołach rolniczych oraz 142 na akademiach medycznych.

Jedynym, szczególnie drogim wyjątkiem jest Wyższa Szkoła Filmowa w Łodzi, gdzie studia kosztują niebagatelnie, bo 325 dolarów miesięcznie. Mimo to chętnych, zarówno z Europy jak i z innych kontynentów, nie brakuje.

W ciągu 15 lat swego istnienia, PWSTIF wykształciła około 40 zagranicznych operatorów i reżyserów. Aktualnie 20 procent słuchaczy, to obcokrajowcy, oczywiście nie tylko „dolarowi“.

SPADEK PO STOLICY

Jednej z łódzkich central handlu zagranicznego w charakterze samochodów służbowych służą dwa „Mercedesy“, nawet nie stare, bo pochodzące z drugiej połowy lat pięćdziesiątych. Są to bodaj jedyne służbowe „Mercedesy“ w Łodzi.

Zainteresowaliśmy się, czyja to łaskawość sprawiła, że prowincji przydzielono tak luksusowe wozy. Sprawa okazała się dziecinnie prosta. Otóż oba te samochody uległy rozbiciu w kraksach. Pierwszy z nich, który przewyżdrował do Łodzi ciężarówką w charakterze kupy żelastwa, został przywrócony do życia tylko dzięki złotym rękóm kierownicy owej centrali, drugi był w nieco lepszym stanie.

I jak tu, proszę państwa, nie mieć kompleksu prowincji!

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa“ Łódź * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,—, kwartalnie zł 12,— * Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch“ — z zaznaczeniem na „Odgłosy“ Druk: RSW „Prasa“ — Łódź, Żwirki 17 Zam. 2089, VII. 62. A-4